№ 17. Warszawa, dnia 16 (28) Kwietnia 1883 roku.



I POWIEŚCI.

Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAŃ I ROBÓT KOBIECYCH.

PRENUMERATA WYNOSI:

W WARSZAWIE kwartalnie rs. 1 kopiejek 80, miesięcznie kopiejek 60. — Z przesyłką pocztową w Cesarstwie i Królestwie, kwartalnie rs. 2 kop. 50. Przedpłata dla GALICYI wynosi we LWOWIE w księgarni GUBRYNOWICZA i SCHMIDTA kwart. w miejscu złr. 3, na prowincyi z przesyłką pocz. złr. 3 c. 80. W KRAKOWIE w księgarni GEBETHNERA i S-ki kwar. w miejscu złr. 2 c. 75, na prowincyi złr 3 c. 50.—W POZNANIU prenumerować można we wszystkich księgarniach kw. w miejscu prenum. wynosi marek 5 na prowincyi z przesyłką pocztową marek 6.—Listy i przesyłki pieniężne adresować prosimy Do J. K. GREGOROWICZA w Warszawie, przy ulicy Widok Nr. 3.

Z NOTATEK PODRÓŻNYCH

przez

L. Szczerbowicza-Wieczora.

I.

Straszono nas bardzo rewizyą celną na granicy pruskiej, ale nie tak straszni Prusacy, jak ich malują. Rewizya pakunków ręcznych odbywa się w wagonach na stacyi Otłoczyn za Aleksandrowem, ale otyły urzędnik, który ukazał się w naszym wagonie, nawet nic nie oglądał, poprzestając na zapytaniu o rzeczy „zollpflichtig". Na widok tylko sporej puszki z herbatą jakiejś damy narobił dla formy, nieco hałasu, a na tłomaczenie owej pani, że to do własnego użytku, odpowiedział sentymentalnie, że i on sam, urzędnik, musi opłacać cło od przedmiotów, do jego własnego użytku służących.

Porwano herbatę do urzędu, grożono karą, a chociaż owa cudzoziemka pogardliwie odrzuciła wezwanie, ażeby tamże się udała, skończyło się wszystko na 30 fenigach (około złotówki) opłaty celnej. Większe pakunki oglądają na stacyi w Toruniu, również dość względnie i za rewizyą płacić sobie nie każą.

W Otłoczynie także oglądają paszparta, co mi się za granicą od lat wielu po raz pierwszy trafiło, gdyż wogóle ci Niemcy, Austryacy i t. d. są tak nierozsądni, że o paszporta nie pytają, będąc tego przekonania, że gdy kogo wypadnie poszukiwać lub zatrzymać, to znajdą go, choćby był bez paszportu, a nawet łatwiej.

Tu zresztą Prusakom chodziło głównie o sprawdzenie wizy swego konsula, to jest złożonej za wizę opłaty.

W Toruniu ruch niewielki i mało osób przybywa tu od nas.

Dlatego w porze wieczornej trudno dostać się z dworca do miasta, gdyż odległość dosyć znaczna i trzeba okrążać po moście przez Wisłę. We dnie chodzą parostatki (za opłatą 5 fenigów czyli tyluż groszy od osoby!) Znalazła się wreszcie, umyślnie sprowadzona jedna jedyna dorożka i pan dorożkarz, za kurs kilkuwiorstowy o 11-ej w nocy uważał się za uprawnionego do pobrania wygórowanej po nad taksę opłaty, a mianowicie 2 marek (rubla) po 1 marce od osoby. Pomyślałem sobie, ile to też „rubelków" byłby kazał sobie, przy takich okolicznościach, zapłacić warszawski dorożkarz! Tu zaś taksa zwykła wynosi 75 fenigów (podług teraźniejszego opłakanego dla nas kursu tyleż groszy) od 3 lub 4 osób, zaś 50 fenigów tylko (pruską złotówkę) od jednej lub dwu osób. Rachują tu więc osoby, nie zaś konie, gdyż nie masz różnicy w cenie między jednokonną i dwukonną dorożką. A dorożki te, jak w całych Niemczech, są to wygodne kocze, w których cztery osoby najwygodniej choćby w postawie leżącej, zmieścić się mogą.

Polacy stoją zwykle w Toruniu w hotelu pod trzema koronami, mało pozostawiającym do życzenia pod względem wygody, dobroci stołu i cen umiarkowanych.

Sama już wzmianka o Toruniu łączy się nierozerwalnie w myśli każdego z Kopernikiem i... piernikiem. O Koperniku przypomina wnet olbrzymi, ale niezbyt wdzięczny pomnik przed starym ratuszem. Mówiąc nawiasem, warto zwiedzić winiarnię i kawiarnię, mieszczące się w podziemiach ratusza: mury są tu tak grube i potężne, sklepienia tak śmiałe, jak rzadko w której budowli. Dalej przy ulicy Kopernika na niezbyt pokaźnym starym domu, wprost wodociągu, napis niemiecki na tablicy opiewa, jako w tym domu urodził się Mikołaj „Copernicus". Autentyczność owego domu jest trochę wątpliwą. Niemcy już teraz, gdy nie udało się im ustalić formy czysto niemieckiej Kupfernigg lub Kopfernig, nazywają wielkiego astronoma naszego wyłącznie łacińską formą Copernicus; mniej już nawet teraz obstają za tem, że Kopernik był Niemcem, poprzestając na nazywaniu go „Toruńczykiem" lub „Prusakiem", w czem przeciwko prawdzie nie grzeszą, tylko że „Prusak" w wieku XV i później aż do XVIII bynajmniej nie znaczył Niemca. Przed najazdem krzyżackim „Prusak" znaczyło krajowca, pochodzenia, jak większość sądzi, wspólnego z Litwinami i Żmujdzinami; po przejściu zaś Prus królewskich pod władzę Polski w r. 1466 „Prusakami" nazywali się także i polscy obywatele tego kraju.

Od jakiego wyrazu pochodzi i co właściwie oznacza nazwa „Kopernik", jest dotąd nierozstrzygniętem. Niemcy odnaleźli gdzieś w Szwabii swoje *Kupfernigg*, niby od wyrazu *Kupfer* (miedź); Polacy wywodzą to miano od *Kopru*, gdyż podobno ktoś odkrył u nas włościan, którzy dziś jeszcze nazywają się Kopernikami (w Kaliskiem, jeśli się nie mylę).

Słynny uczony i badacz języków Pott wypowiada zupełnie inny rodowód tego nazwiska, a mianowicie twierdzi, że forma łacińska *Copernicus* powstała wprawdzie niewątpliwie z formy polskiej (Pott stanowi chlubny wyjątek śród niemców i nie chce niemczyć naszego astronoma), ale nie z formy Kopernik, lecz z formy *Czopernik*, *Czapernik*, co pochodziło od wyrazu *czapka* i znaczyłoby to samo co *czapnik*.

Na zakończenie tych uwag o Prusakach i Koperniku wspomnę, że ostatniemi czasy Kętrzyński i Sieniawski dowodzili i prawie dowiedli, iż owi pierwotni Prusacy, dziś zaginieni, których uważano za najbliższych pobratymców Zmujdzinów, byli

po większej części, pochodzenia polskiego i używali mowy polskiej.

Przechodząc od Kopernika do pierników—Kopernik i piernik to nawet jakoś rymuje — muszę wspomnieć, że sława pierników toruńskich podobno upada. Najsłynniejszym dziś fabrykantem tych łakoci jest Veese, który wybudował sobie piękny dom z pierników, to jest z dochodu z ich sprzedaży. W Toruniu słyną głównie małe pierniczki, przez tamtejszych Polaków zwane „Katarzynkami”, dobre i tanie. Wątpliwą jest jednak rzeczą czy utrzymuje się dziś jeszcze tradycyjny zwyczaj przechowywania ciasta na pierniki przeź *lat sto*, zanim takowe użyto zostanie na pieczywo, jak to podobno dawniej bywało.

W Toruniu liczebnie przeważają dziś Niemcy z Żydami; Polaków rachują przeszło 7 tysięcy. Forteca tutejsza podobno nie należy do pierwszorzędnych. W koło zabudowań fortecznych biegnie aleja służąca za miejsce przechadzki, ale zaopatrzona w dwie tylko ławeczki. Tu także wznosi się dziwnie jakoś pstry i niesmaczny pomnik na pamiątkę Toruńczyków, poległych w wojnie francuzkiej.

Muszę tu jeszcze wspomnieć o uprzejmości pana Danilewskiego, Redaktora Gazety Toruńskiej, który sam nastręcza się przyjezdnym rodakom, jako przewodnik po mieście i jego widzenia godnych osobliwości. Do tych ostatnich należy np. piękny starożytny dom w rynku, architektury przypominającej gdańskie średniowieczne kamienice; w tym domu, podług podania, przemieszkiwali czas jakiś synowie Jana Sobieskiego. Pyszne i szerokie schody godne są uwagi z powodu nizkości stopni i wogóle takiego urządzenia, które pozwala wstępować na nie bez żadnego zmęczenia. Dziś w tym domu — dziwne koleje losu — mieści się synagoga żydowska.

W Toruniu istnieje towarzystwo naukowe polskie i skromne muzeum, założone prywatną ofiarnością obywateli polskich, a głównie zgasłego przedwcześnie Zygmunta Działowskiego, którego portret zdobi jedną z sal muzeum. Urządzenie całe skromne i gustowne; sala posiedzeń prześliczna. W muzeum jest nieco zabytków historycznych polskich i portretów; najbogatszym zaś jest zbiór urn, garnków, popielnic i innych wykopalisk przedhistorycznych.

Księgarnia polska nosi obecnie firmę Małkowskiego. Ciekawy turysta śpieszy zaopatrzyć się tu przedewszystkiem w słynny poemat kaszubski „O panu Czerlińskim“, wydany przed dwoma laty przez p. Derdewskiego, wtedy współpracownika Gazety Toruńskiej.

W swoim czasie wszystkie pisma nasze podały wiadomość o tym ciekawym utworze, który dla pobratymczych Kaszubów jest, a przynajmniej być powinien, tem, czem jest dla nas Pan Tadeusz. Nie będę tu więc rozszerzał się o tym przedmiocie, lecz nie mogę nie zaznaczyć, że typ Czorlińskiego, owego szlachcica-rybaka, pobożnego i odważnego, zabobonnego, a przy tem pełnego uczuć obywatelskich, jowialnego, skorego do bójki i wypitku, a który od Niemców zapewne przejął rzadki u szlachty naszej rys oszczędności i niemal skąpstwa, że postać to żywa i narodowa, jak mało innych typów w literaturze XIX wieku. Utwór ten godzien zaprawdę jak największego rozpowszechnienia, nawet i u nas, którzy nawet wogóle mało wiemy o dzielnym szczepie pobratymczym Kaszubów, który jest ostatnią dziś placówką polską nad falami Baltyku i jedynem plemieniem wyspiarzy polskich. O Kaszóbach powiem jeszcze słów kilka w następnym liście; tu zaś, jako próbkę narzecza kaszubskiego, dla nas z łatwością zrozumiałego, przytoczę z poematu p. Derdowskiego dwa wyjątki.

Oto piosenka, którą Czorlińska śpiewa nad kolebką swej córeczki.

Ziuziu, Ziuziu, córuleńku,
Zabjete (zabili) cy (ci) ojca w renku (w rynku),
Zabjele go ze drudzimi (z drugimi)
Toporami żelaznymi.
  A w Raduni krwawo woda,
  Szkoda ojca, że co szkoda!

Matka płacze, te (ty) śpij sobie,
Oj nie tobie płacz, nie tobie!
Tobie amnioł (anioł) cacka strugo (straże),
W gaju żółty ptaszek frugo (fruwa).
  A w Raduni krwawo woda,
  Szkoda ojca, że co szkoda!

Matka płacze bez ustanku,
Ty śpij sobie na posłanku,
Tobie pluszcze rybka w stawie,
Gąska gęga na murawie.
  A w Raduni krwawa woda,
  Szkoda ojca, że co szkoda!

Ciebie matka wepiastuje,
A stróż anioł cę pilnuje,
Wyprowadzo cę na łączkę,
Wiąnek daje dzecku w rączkę.
  A w Raduni krwawa woda,
  Szkoda ojca, że co szkoda!

Wiąnek bierzesz do dum (do domu) sobie,
Kładzesz go na tatci (tatki) grobie,
Klęcząc modlisz się za ojca,
Co go zabjeł krzyżok zbójca,
  A w Raduni krwawa woda,
  Szkoda ojca, że co szkoda!

Fakt historyczny, o którym wspomina ta piosenka, jest wymordowanie 10,000 bezbronnego ludu kaszubskiego przez Krzyżaków w Gdańsku w czasie wielkiego jarmarku na św. Dominika 1308 r. Wody Raduni (rzeki koło Gdańska) zafarbowały się krwią ofiar...

A oto, na zakończenie, jako próbka jowialności bohatera, krótkie streszczenie ustępu o egzaminie z pisma świętego, któremu poddał Czorlińskiego organista w kościele oliwskim. Więc naprzód ze starego testamentu. Gdzie jest raj, w którym mieszkali pierwsi nasi rodzice? zapytuje organista. Raj, odpowiada Czorliński jest w Wiecu, mieście, które po niemiecku nazywa się Vietzig, jak tego dowodzi pieśń nabożna (Bogarodzica), gdzie stoi: „Adamie, ty boży kmieciu, co siedzisz u Boga *w wiecu*.“ Dobrze prawi organista, a teraz powiedz, jakie przezwisko dał Bóg Adamowi? Przezwisko „Skruszyła”, odpowiada szlachcic, gdyż tak stoi w pieśni nabożnej „Gwiazdo morza” i t. d., że Marya grzech Adama *skruszyła*. No, a teraz z nowego testamentu. Gdzie urodził się Chrystus? Urodził się w kaszubskim Betowie, boć Betów a Betleem to jedno. A gdzie Chrystus był ukrzyżowany? Na Kalwaryi za Wejrowem (miasto kaszubskie). Dobrze, chwali organista, ale jeżeli tak dobrze znasz wszystkie miasta, wspomniane w piśmie świętem, to powiedz, w którem miejscu pismo święte mówi o Wielu? (miasto kaszubskie). Na to trudne pytanie już obecny braciszek podszepnął Czorlińskiemu odpowiedź. „O Wielu mowa u Łukasza ewangelisty tam, gdzie Jezus odzywa się do Marty: Marto, Marto, troszczysz się o wiele.“

No, a od czego Puck nazwany? Oczywiście od słów Chrystusa, wyrzeczonych do Piotra: *Puc letu* (Pójdź no tu). Jako nagrodę tak świetnie odbytego egzaminu Czorliński otrzymał godność kalkatora, do deptania miechów w słynnych organach kościoła oliwskiego.

(*D. c. n.*)

Czem jest życie?

Życie ludzkie to tkanka różnie utworzona,
Niekiedy z samych jasnych kolorów złożona,
Niekiedy znów jest ciemna, żałobna, ponura,
Jak na niebie wciąż burzą grożąca nam chmura.

Czasami między ciemne barwy te wpleciona,
Ukaże się nadziei niteczka zielona,
Rzadko zaś w tej tkaninie ludzkiego żywota,
Zabłyśnie choć na chwilkę nitka szczęścia złota!

* * *

Życie ludzkie to wieniec bardzo rozmaity,
Czasami z pięknych, wonnych kwiatów jest uwity,
Czasami do cierniowej podobny korony,
Z samych kolczastych głogów i cierni złożony.

Często jednak przy kwiatach ostre kolce kłują,
Niekiedy najpiękniejsze jadem swoim trują;
A z śród cierni czasami kwiateczek wystaje
I wieńcowi całemu ozdoby dodaje.

* * *

Życie ludzkie to teatr, zabawa dla świata,
Ludzie w nim odgrywają komedye, dramata,
Wszyscy są aktorami, lecz nie równej siły,
I dla wielu ten występ jest bardzo niemiły.

Niekiedy śmiać się trzeba, gdy sercem ból miota,
Śpiewać wtedy — gdy płakać byłaby ochota.
Rzadko kto dobrze spełni swoje powołanie,
Rzadko komu właściwa rola się dostanie.

* * *

Życie ludzkie to chwilka naprzeciw wieczności,
Szybko mijają troski, kłopoty, przykrości,
A gdy niekiedy moment szczęśliwszy zabłyśnie,
To jak bańka mydlana co najprędzej tryśnie.

A my wciąż przez czas gnani, dążym coraz dalej,
Choć się często opierać pragniemy zuchwali,
I jak te ziarnka piasku przez wiatr unoszone,
Coraz w inną bywamy przerzucani stronę!

* *

Życie ludzkie pielgrzymka to, która dla wielu
Jest wcale niepojętą! ci dążą bez celu;
A gdy przypadkiem trafią na rozstajne drogi,
Patrzą tylko by nie wejść na ciernie i głogi.

O! ci pewnie nie myślą nigdy o przyszłości,
Żyją bez światła wiary, nadziei, miłości,
Żyją bo mają życie — li tylko dla siebie,
Często nie wierzą nawet, że jest Bóg na niebie!

* * *

Życie ludzkie to walka, w której namiętności,
Występują zuchwale przeciw powinności;
Walka to uporczywa trwa przez całe życie,
Choć często się odbywa nie jawnie lecz skrycie.

Po stronie namiętności natura tu staje,
Powinności sumienie otuchy dodaje,
I gdy ona z tej walki zwycięzko wychodzi,
Bóg-świadek wieńcem łaski i szczęścia nagrodzi.

Helena Bojarska.

BŁĘDNE DROGI.

Rzecz opowiedziana

przez

J. K. GREGOROWICZA.

(Dalszy ciąg.)

Powóz istotnie zatrzymał się przed kościołem Karmelitów, panie wysiadły a lokaj zaniósł za niemy książki do nabożeństwa. Tłum żebractwa stojący rzędem przy wchodzie zaszemrał modlitwą i prośbą o jałmużnę. Hetmanówna stała cokolwiek na uboczu, nie łącząc się z żebrakami, przygarbiona, oparta na kiju, bardzo ubogo ubrana, z umbrelką twarz jej zasłaniającą. Wyciągnęła i ona rękę, także coś mruknęła, ale nieśmiało, bojaźliwie i co chwila to ją wysuwała to znów chowała, z ruchem niespokojnym, często nawet gwałtownym jakby koniecznością wywołanym. Damy przeszły nie zwracając uwagi na żebraczą czeredę, a gdy minęły podwoje, jeden z żebraków podsunął się ku Hetmanównie i grożąc jej kijem mówił z tłumioną złością:

— Znów przyszłaś ślepa babo, a mówiłem ci że tu stawać niewolno. Idź mi ztąd natychmiast, bo jak cię przemierzę kijem...

Hetmanówna odwróciła od niego głowę, twarz jej radosny ożywił uśmiech i usta przysłaniając rękę, szepnęła:

— Niczego się nie domyślają, biorą mnie zawsze za babę do ich cechu należącą, ah! jak mnie to bawi! Sama sobie biłabym oklaski, gdyby to nie przed świątynią Tego... Niepojętego.

I nagle uderzywszy się w piersi, uklękła i zaczęła szeptać ręce wznosząc do góry:

— Panie Zastępów, przebacz grzesznej. Pychą obraziłam Cię, pokorą chcę odpokutować. Zmiłuj się, Panie, zmiłuj, zmiłuj...

— Czy słyszałaś com ci powiedział? — zapytał dziad bliżej się ku niej podsuwając. — Bo jak zaraz nie odejdziesz to cię tak kijem zwałkuję...

— Bij, bij! a dobrze! — zawołała Hetmanówna przypełzawszy do dziada na kolanach. — Bij! grzechy będą mi lżejsze, gdy ciało z bólu zaskowyczy, bij staruszku, bij!

Dziad zamierzył się, biednej kobiecie umbrelka zsunęła się i pokazała się twarz młoda jeszcze, taką jaśniejąca szlachetnością, taką nacechowana wzniosłą wiarą i poddaniem się, że kilka bab bliżej stojących krzyknęło z podziwem, i chwytając kij dziada mający już prawie spaść na plecy niebogiej zawołało:

— Dajcie pokój Stanisławie, toć to wyraźnie waryatka, krzywdy nam nie robi, a że stoi sobie na boku i udaje żebraczkę, to i niech stoi, grosz tam do niej nie zajdzie.

Mowę tę poparli inni, dziad wrócił na swe stanowisko, a Hetmanówna szybko przybrawszy dawną postawę, stanęła pod ścianą i znowu odwracając od nich głowę, uśmiechając się jak człowiek ucieszony figlem niespodzianie komuś wypłatanym, zawołała z szeptem utajonym:

— Oszukałam ich, oszukałam! Wzięli mnie za waryatkę, gdyby można było tobym się z nich śmiała całem gardłem. Głupcy!

Nabożeństwo wreszcie skończyło się, pobożni zaczęli opuszczać świątynię, żebractwu sypały się groszaki na dłonie, wznosiły się modły i błogosławieństwa, Hetmanownie nikt nie dał i grosika, dopiero gdy wyszła p. Sabina ze swą towarzyszką, obejrzały się i zobaczywszy ją stojącą na uboczu w kornej postawie, rozmawiając po francuzku, zwróciły się ku niej i pani Sabina włożyła jej w rękę trojaka.

— I to pewne jest?— mówiła młoda towarzyszka pani Sabiny.

— Najpewniejsza—odrzekła zapytana. — Możesz ojca o tem zawiadomić, z dodatkiem, że to wiesz ode mnie, a ja zawsze umiem się dobrze dowiedzieć o tem co pragnę wiedzieć. Miałam adres z sobą, ale mi się gdzieś zadział, chociaż wiem dobrze żem go zabrała.

Panie nie patrząc nawet na wspartą przez siebie żebraczkę, wsiadły do powozu, a gdy pani Sabina dokonywała tego, z fałdów jej sukien, czy z falban lub różnych zmarszczek, wysunął się kawałek papieru w kilkoro złożony i spadł pod samo koło powozu. Lokaj zatrzasnął drzwiczki, a gdy powóz ruszył, kartkę koło wgniotło pomiędzy kamienie.

Nie uszło to baczności biednej waryatki. Stała z dłonią otwartą na której leżał trojak. Twarz jej cała drgała, lica poruszały się, usta szemrały a z pod czoła ruchliwego błyszczały oczy rzucając błyskawice.

— A! żmijo przeklęta! — mówiła waryatka. — Tyś to splugawiła mi ręce ofiarą miłosierdzia, ty! coś plugawym swym językiem tyle niemiłosierdzia na świat wyzionęła. Bądź przeklętą! obyś poznała własną szkaradę, nie dla żalu i pokuty, ale żebyś sama sobą pogardziła, znienawidziła sama siebie, zdeptała, opluła jak ja cię depcze i plwam bezecna gadzino. Dar twój pali mnie, piecze żarem, dusi jadem, niech więc przepadnie...

I biedaczka wzniosła do góry rękę i już trojaka miała rzucić o ziemię, gdy nagle poskoczyła ku żebraczce, która się za nią ujęła i oddając jej pieniądz mówiła gwałtownie:

— Weźcie to, weźcie moja matko, ale razem z ręką, nie chce jej, nie chce, bo już przeklęta...

— Bóg z tobą, moje dziecko — odrzekła baba biorąc pieniądz — ale ręki przecież ci nie utnę bo i noża nie mam przy sobie.

— Nie macie noża! —powtórzyła z żalem obłąkana opuszczając ręce. — Prawda, nie pomyślałam o tem. Przepraszam cię dobra matko, ale co to ja miałam na myśli...

Spojrzała w koło, odsunęła się nagle od żebraczki i zobaczywszy wtłoczony papier w szparę między kamieniami, podniosła go i szybko pobiegła w ulicę. Na rogu dopiero zatrzymała się, rozwinęła papier i przeczytała na nim: Stanisław Stroński — Stare miasto, numer kamienicy i dodatek: czwarte piętro ze schodów na lewo.

Panna Hetmanówna jak się sama nazywała, język francuzki znała dobrze, zrozumiała więc rozmowę przy niej przez obie panie prowadzoną i zaraz przypomniała sobie, że była w niej mowa o jakimś adresie, który z sobą zabrała pani Sabina a przypadkowo zagubiła.

— Czyby to ten był adres — zapytała siebie— o którym ta żmija wspomniała? Widocznie z niej wypadł... nową robotę powzięła, ale za kim, przeciw komu? O! muszę dojść tego, ofiarę twej złości obronię a ciebie wysmagam, wypoliczkuję, obleję smołą wzgardy i spalę jak czarownicę. Oh! jakiż to tryumf wroga wyciągnąć z habitu pobożności i pokazać całemu światu że poczwara.

Magazyn siostry był niedaleko. Była ona jedyną biednej waryatki opiekunką, czułą, troskliwą i kochającą prawie z uczuciem macierzyńskiej miłości. Wyrozumiała na wszystkie jej wybryczki, starała się zajmować ją pracą w magazynie a szczególniej przystrajaniem kapeluszy damskich kwiatami a sukien ozdobami do czego szczególną okazywała zręczność. Wprawdzie w zajęciu tem spełniła czasem coś bardzo cudacznego, ale łatwo to bez szkody usuwano, a gdy się upierała przy swojem, na jedno słowo, że to siostrze może wielką przynieść szkodę, zgadzała się zaraz na wszystko i rękę karcącej z wdzięcznością całowała. Obłąkanie jej było spokojne, nikomu szkody nieprzynoszące, zdawało się jej, że całą przeszłość, ma w sobie zamkniętą a przyszłości jest natchnioną prorokinią. Zostawiano jej też zupełną swobodę, ubrana starannie a nawet z pewną elegancyą, wychodziła z domu kiedy chciała, pilnowano tylko jej tajemnych wycieczek, które urządzała z największą zręcznością i wracała z nich zwykle w wybornym humorze, powiadając, że była na pokucie według rozkazu św. Wojciecha i wybłagała skrócenie dni zagniewania Pańskiego.

Jak tylko wróciła do domu z żebraczki pod kościołem, nic nie mówiąc a ciągle radośnie uśmiechając się, zaczęła zrzucać ubranie i wyjmować okaźniejsze stroje.

— Czy znów wychodzisz z domu? — zapytała siostra.

— Ah! Maniu moja kochana — odrzekła wdziewając trzewiki — udało mi się przewybornie. Wpisano mnie do bractwa nędzarzy, namaszczono pogróżką, wzniesiono szczerbiec nad moją głową... ah! tylko ta ręka, patrz jaka wypieczona! Ale już mnie nie pali... teraz pójdę wypłatać figla szatanowi, potrzeba mi na to szat choćby królewskich. Ho! ho! chwycę go za uszy i przywiążę do pręgierza na wieki, na wieki!

— Jadziu, moja Jadziu kochana — odezwała się siostra ze współczuciem — uspokój się, zostań w domu...

— Lękasz się, żebym rąk moich nie zakrwawiła? — zapytała Jadwiga z dumą podnosząc głowę. — Jestem przecie Hetmanówną! W szacie królewskiej postępuję jak królowa, do każdego przemawiam, jak Jadwiga, która pozwoliła wyrwać sobie serce, aby w chatach i pałacach ognie radości rozpalono. Bądź spokojną... na mysz zastawiono łapkę, a ja kociskowi leż chcę dać klapsa i wrzasnąć mu: a psik! kocie, leż w błocie a myszy nie podchodź! Wszak prawda, że to będzie zabawny figiel? Jak wrócę opowiem ci wszystko, ze wszystkiemi szczegółami, zobaczysz jak się uśmiejemy.

Ponieważ wiedziano, że w podobnych razach wszelkie uwagi będą daremne, nie sprzeciwiano się jej, tylko poczciwa siostra starała się nadać ubiorowi jak najprzyzwoitszy pozór.

Stanisław był w domu. Gdy zobaczył wchodzącą nieznajomą sobie zupełnie osobę tak okaźnie się przedstawiającą, zerwał się z siedzenia. Jadwiga skinieniem głowy odpowiedziała, przeszła z majestatyczną powagą w milczeniu przez pokój, zatrzymała się przed lustrem, poprawiła kokardek i zasiadłszy w otwartem oknie wpatrzyła się w piękny widok daleko i szeroko się rozpościerający.

Stanisław stał milczący, zdziwiony jakby nadprzyrodzonem jakiem zjawiskiem, nie wiedząc jak ma sądzić odwiedziny tak niezwykłe i to osoby widocznie należącej do wyższego towarzystwa.

Jadwiga z podpartą głową na ręku z zachwyceniem przypatrywała się pięknemu krajobrazowi.

— Śliczny widok!—odezwała się po chwili nie odwracając głowy. — Dar Boży dla poddasza. Z tej wyżyny bliżej niebo a dalej od ziemi... gwar dochodzi tu niby szmer strumyka przeplatany świegoleniem ptasząt lepszych stokroć od ludzi.

Znowu umilkła, podumała chwilkę i nagle zwracając się do Stanisława zawołała:

— I czegóż acpan stoisz jak słup przydrożny skazany na wiecznie milczenie? Ha! domyślam się, lękasz się abym ci skarbu tego nie odebrała, nie wypatrzyła go chciwem okiem? Uspokój się! Królowa Jadwiga umie być szczodrą, umie wyssać z siebie życie nic w zamian nie żądając. Patrz i przekonaj się, żem ci żadnego uszczerbku nie przyniosła. Chodźże! — dodała gwałtowniej.

Stanisław poruszył się, ale pozostał w miejscu. Jadwiga zmarszczyła brwi i po chwili śmiejąc się i przechadzając mówiła:

— Ah! jakaż ja zabawna, nawet śmieszna potroszku. Zamiast przedstawić się kto jestem... ale zapewne acpan znasz mnie?

— Nie mam przyjemności...

— Jakto, nie znasz mnie? — przerwała Jadwiga brwi marszcząc. — Nie znasz mnie Hetmanówny, której przeszłość ołtarzem, a przyszłość modlitwą? Jesteś bezbożnikiem! Zabito prawdę i szatan krzyknął: nie żyje! Kłamstwo! Czyż nie słyszysz? Pod darnią cmentarną z jękiem głuchym warczy piorun, jak dzielny brytan mający rzucić się na zbója? O! słuchaj!... Słuchaj!... Głos ten słyszę zawsze... przenika mnie, przejmuje, przepływa przeze mnie jak strumień rwący tamy i szmerem fali, woła wielkim głosem: wyrodku! potępiony jesteś na wieki! Gdy skinę, hufiec aniołów stanie na me rozkazy, gdy zawołam: naprzód! ziemia drży i wre ogniem, a on powiada, że mnie nie zna!

Stanisław domyślił się, że ma do czynienia z waryatką i nie chcąc jej rozdrażniać, patrząc jak chodzi niespokojnie i szarpie na sobie ubranie, odrzekł:

— Słyszałem o pani, ale nie miałem przyjemności poznania jej osobiście. Cieszę się więc z łaskawych nawiedzin...

— On się cieszy — przerwała Jadwiga podnosząc ramion. — On się cieszy! Zabawne poddasze, gdy chce dyplomatyzować, a salon udawać prostotę. Pozostańmy w swoich rolach, nie okłamujmy się wzajemnie, acpan słuchaj i odpowiadaj jak przynależy na biednego co wielkim zostać może. Wszakże Piast skromny rolnik, w purpurze królewskiej zasiadł na tronie... Ale cóżem to miała na myśli?... Zaraz... zaraz... a! przypominam sobie...

Jadwiga szybko wyjęła kartkę znalezioną pod kościołem i rozwinąwszy ją podała młodzieńcowi.

— To adres mój—odezwał się przeczytawszy.— Rzeczywiście jestem Stanisław Stroński, student kończący wydział prawny.

— Wiem o tem! — przerwała z żywością — i niepotrzebnie acpan wyliczasz zdobiące go tytuły, jak pokrzywa kwiaty przy których wyrasta. Powiedz mi co on znaczyć może?

— Tego nie mogę odgadnąć!...

— Nie może odgadnąć!—zawołała Jadwiga. — Student kończący wydział prawny, nie może odgadnąć co ta kartka znaczy! Otóż cała wasza mądrość światowa to dym z fajerwerku, który głupców olśniewa, pychę tuczy a mądrych przywodzi do rozpaczy. Powiedz mi dlaczego ta głupia mucha nie jest tobą a ty muchą?

— Dlatego, że się muchą urodziła — odrzekł Stanisław.

— Fałsz! sofizmat! wykręt! — zawołała Jadwiga — a dlaczego się muchą urodziła nie człowiekiem?

— Tego przyznam się nie wiem — odrzekł Stanisław z uśmiechem.

— Otóż rozumnie odpowiedziałeś: nie wiem! Takiej drobnej tajemnicy nędznej muchy dotyczącej nie umiecie objaśnić, a wam się zdaje, że wszystko wiecie, wszystko pojmujecie, że bogami jesteście a Ten! Najwyższy! ledwo nie sługą waszym z którym za panie brat przechadzacie się po państwie jego nieskończoności. Paskudni faryzeusze, pyszałki w togę głupstwa odziani! Ale acpana wyłączam z nich i jak słoneczko uśmiechnie się nad ziemią, zrobię acpana rektorem uniwersytetu w którym utworzę nowy wydział nauki głupstwa ludzkiego.

Stanisław trzymał kartkę w rękach, Jadwiga przeszedłszy się znowu przed lustrem poprawiła ubrania i rzuciwszy spojrzenie na kartkę, zawołała:

— A! kartka i nic z niej acpan nie umiesz wyczytać?

— Oprócz nazwiska swego nic więcej.

— Patrz, tylko dobrze, czyż z tych liter, jakby na wielki bal przystrojonych, w różne gzygzaki i zakręty kaligraficzne, nie przeglądają oczy bure, świecące złością i pychą? Patrz, o to ręce ku niebu wzniesione, jedna z modlitwą a druga z figą z palcy ułożoną... Tu przegląda pół twarzy z okiem skromnie spuszczonem, a tu druga połowa z zapalczywością sępa na zdobycz spadającego. Cóż, widzisz to co ci pokazuję?

— Widzę — odrzekł Stanisław, nie chcąc się mówiącej sprzeciwiać.

— To dobrze, to bardzo dobrze, a wiesz co te mgławe obrazy znaczą?

— Zkądże mógłbym to wiedzieć?

— Te twarze, te oczy i ręce — mówiła dalej Jadwiga wodząc po papierze jakby po jakim rysunku, wszystkie skierowane ku tobie. Z palcy wysuwają się szpony, z ócz nóż zbójcy a z twarzy wabik, aby cię schwycić a potem zgubić. Strzeż się! Od tego świata co tak błyszczy, sławi się i od drugich odgradza, uciekaj nieszczęśliwy jak od zarazy! Strzeż się zbliżać do niego, bo wpadniesz w przepaść i ockniesz się dopiero na dnie jej poraniony, zmiażdżony i poszarpany. Wydęci rodem chrzczą siebie wielkością a to karły na szczudłach swego głupstwa stąpający, pęcherze wydęte trującemi wyziewami. Pamiętaj strzedz się ich, pamiętaj!

— Dobrze pani, będę ich unikał.

— Jeżeli jeszcze nie jesteś w koło ich katuszy wpleciony, to może dasz się wciągnąć, obietnicą, przyjaźnią, przymileniem a może... najprzyjemniejszem waryactwem ludzkiem... miłością. O! wtedyś zgubiony bez powstania. Wszystkie furye z piekieł powołają na swe usługi, oczy uzbroją w szydła, język w sztylety, usta w kolce, uśmiech w jad, słowa w kłamstwo, i jak cię zaczną siec, kłóć, krajać, dręczyć potwarzą a nędzić bezecnością, duszę wyrwą z ciebie i staniesz się żywym trupem. Tak, tak, znam ja ich dobrze i wiem co umieją. Nazwali mnie waryatką, alem ja przytomna, przeleci mi czasem coś przez głowę jak piorun, wtedy myślę, że mi czaszkę rozsadzi i znów żyję, aby świadczyć, żem żywa a oni umarli.

Jadwiga powstała i szybko bez żadnych przygotowań wybiegła z pokoju, ale jeszcze Stanisław nie przymknął drzwi kiedy powróciła mówiąc:

— Kartkę, oddaj mi acpan kartkę, to dowód, dokument wielkiej wagi, proszę mi ją zaraz zwrócić. Wysunął się żmii w całej wspaniałości jej jaśnie wielmożności, przy powozie i wygalonowanej liberyi. Ale żądło ma ostre, trzeba z niem ostrożnie bo ukąsi! Oj! śmiertelnie ukąsi.

Złożoną kartkę, Jadwiga nie oglądając, jakby lękała się doznać od niej jakiego szwanku, ostrożnie wsunęła w kieszonkę, ale tak źle, że zwitek papieru upadł zaraz na podłogę. Nie spostrzegła tego.

— Oh! jakżem szczęśliwa! — zawołała — żem złości sidła porwała! Gdy co odkryję nowego, wieść poślę ci po promieniu słońca, który zarówno pada na nędzarza, jak i na wielkich na pomnikach stojących. Jakaż to dziwna szczodrobliwość! Od śmiechu wstrzymać się nie mogę!

Z ostatnim wykrzykiem, Jadwiga szybko wbiegła na schody i schodząc z nich, jeszcze powtórzyła parę razy:

— Pamiętaj! pamiętaj!

Stanisław podniósł kartkę, przypatrzył się pismu i długo się przechadzał po pokoju myśląc o dziwnych odwiedzinach i jeszcze dziwniejszej rozmowie, której znaczenia nie mógł odgadnąć.

— To tylko pewna — rzekł wreszcie — że jest ktoś co się mną zaprząta, żem wplątany w coś dla mnie zupełnie niedocieczonego. Kto to być może, jakim sposobem ta biedna waryatka przyszła do posiadania mego adresu, dlaczego przybiegła do mnie z przestrogą tak gorąco zalecaną, dlaczego nią tak widocznie była wzburzoną, dlaczego do ardresu tego tak wielką zdawała się przywiązywać wagę?... Nie wiem i dojść tego nie umiem. Coś w tem jednak być musi... coś prawdy może groźnej... Muszę z Wachem się rozmówić... Gdzie wszystko na raz na kartę rzucono, tam nic nie należy lekceważyć.

(D. c. n.)

Żegnaj marzenie.

Żegnaj mi, żegnaj, lube marzenie...
Wiośnianych nocy promienny śnie!
Twoje rozkoszne, urocze tchnienie,
Dłużej nie będzie upajać mnie.

Złamane serce w rozpacznym boju,
Niczego więcej nie pragnie już —
Ah! tylko ciszy, tylko spokoju!
I zapomnienia przebytych burz...

Ulatuj szybko skrzydły złotemi,
W po za krańcowej przestrzeni dal,
Ja tu zostanę jeszcze na ziemi,
Wśród mych przeznaczeń posępnych fal!

Bronisława Kordzikowska.

Przegląd Teatralny.

Żołnierz królowej Madagaskaru, komedya oryginalna w 3 aktach przez *Stanisława Dobrzańskiego.*
Pierwsza Miłość, jednoaktowa komedya *Alfreda de Larcy*, z francuzkiego.
Helota, komedya wierszem przez *K. Monseleta* i *K. Arène'a* tłomaczona przez B. Londyńskiego.
Pantofel, krotochwila oryginalna w jednym akcie przez *S. J. Łuniewskiego.*

Ubiegły tydzień obfitował w nowości dramatyczne, które naszą publiczność tak bardzo w teatrze zamiłowaną, zawsze licznie ściągają. Teatr Mały przez cały tydzień dawał „Żołnierza królowej Madagaskaru“, komedyę 3 aktową a raczej farsę St. Dobrzańskiego, wesołą bardzo i zabawną, pełną życia i ruchu i jakkolwiek swawolną nieco, lecz nie przekraczającą granic przyzwoitości, jak farsy francuzkie tego rodzaju, których tyle niezdarnych tłomaczeń niegdyś dawano. Główną w niej osobistością jest p. Mazurkiewicz, wdowiec, poważny mecenas z Radomia, wielki rygorysta, uważający teatr jako otchłań zepsucia. Przybywa do Warszawy z synkiem piętnastoletnim z zamiarem starania się o rękę Sabiny Mąckiej, panny już doletniej. Rodzinę jej, z trzech siostr złożoną, zastaje w wielkiej trwodze i popłochu, gdyż przejęły list pisany przez baletniczkę, dający Władysławowi Mąckiemu *rendez vous* za kulisami podczas przedstawienia „Królowej Madagaskaru“. Przejęcie tego listu, wahanie się co z nim zrobić, chęć przeczytania, ciekawość do najwyższego stopnia podniesiona, a następnie niby przypadkowe rozdarcie koperty i wnioski do kogo list pisany, gdyż jest dwóch Władysławów, jeden szwagier tych pań a drugi młody syn jednej z nich, bardzo skromnie u Jezuitów wychowany, stanowią sceny z wielką prawdą i wielkim komizmem skreślone. Jednakże z tonu listu przekonane są, że on do młodzieńca pisany. Potrzeba go ratować, potrzeba zapobiedz grożącej mu zgubie. Ale jak? Wtem zjawia się poważny mecenas, wszystkie napadają na niego, on musi się poświęcić, musi wyrwać młodzieńca z piekielnych czeluści. Jego protestacye nic nie pomagają, zaręczenia, że noga jego nigdy za kulisami nie postała, że tam sobie rady dać nie potrafi, na nic się nie zdały, musi ustąpić rozpaczliwym prośbom przestraszonej matki i oburzonych ciotek. Idzie więc za kulisy i tam najkomiczniejsze przygody go spotykają, nareszcie jako nie mający prawa wejścia, musi, chcąc pozostać i rozmówić się z baletniczką Kamillą, figurować na scenie, wdziawszy na siebie ubiór żołnierza królowej Madagaskaru. Pomimo swego rygoryzmu i on ulega wpływowi pięknej baletniczki i zaprasza ją na kolacyjkę, przekonany że swą wymową zdoła ją namówić do porzucenia tyle niebezpiecznego zawodu. Nie mając wiadomości ani o młodzieńcu ani o wysłanym w pogoń mecenasie, wszystkie trzy panie puszczają się ich szukać i właśnie mecenasa z baletniczką zastają przy kolacyi. Oburzenie, zerwanie projektowanego małżeństwa z panną Sabiną i na tem koniec. Treść jak widzimy, nie wielka ale rzecz cała od początku do końca bardzo zabawna, a na te ciężkie czasy dobrze i pośmiać się trochę.

Sztuka bardzo dobrze była grana i przez reżyseryą starannie wystawioną. Prym trzymali: pani Zimajer jako baletniczka i p. Sikorski w roli mecenasa. Panie: Borkowska i Linkowska były też wyborne, zresztą należy oddać sprawiedliwość wszystkim artystom, którzy brali udział w tej farsie, że grą swoją do jej powodzenia wiele się przyczynili. Musimy tylko zwrócić uwagę panny Czosnowskiej, iż nie powinna przyjmować ról dla siebie tak dalece nieodpowiednich jak Kazia i wogóle chłopców, gdyż o ile jest ładną jako młoda dziewczyna o tyle w stroju męzkim za sztywna.

Teatr Rozmaitości aż trzy nowe sztuki naraz wystawił: „Pierwsza Miłość“ jest niezmiernie elegancką francuzką bluetką, której cała zaleta nie w treści zbyt powszedniej i zużytej, lecz w lekkim, wytwornym dyalogu spoczywa, który o tyle zajmie i spodoba się słuchaczom o ile dobrze będzie wypowiedzianym. To też bardzo podobała się ta komedyjka, dzięki talentom pani Lüdowej i p. Tatarkiewicza. Gra ich była tak wykończona, tak subtelnie wycieniowana w najmniejszych drobiazgach, że nic do życzenia nie pozostawiała. Naiwny wdzięk panny Czaki do powodzenia tej bluetki także się przyczynił.

Bardzo nam przykro że tego samego o „Helocie“ powiedzieć nie możemy. Piękny i poetyczny obrazek starożytnego greckiego świata, został zmasakrowany, zabity, przez najniestosowniejszą obsadę. Nawet artysta tak inteligentny jak pan Kotarbiński, nie wniknął dostatecznie w ducha swej roli. Wszakże ma być ateńczykiem, a co więcej, jak sam mówi o sobie, raz synem, drugi raz sługą Alcybiadesa (nie wiemy czy tak jest w tekście, czyli to była omyłka); w każdym razie w grze jego nie mogliśmy dostrzedz tego poloru, tej szlachetności jakiemi ateńczycy przed innymi ludami Grecyi się szczycili. Przedstawił prawdziwego lekkiego, człowieka lubiącego życie wesołe, wino, śpiew i kobiety i nic więcej, wtenczas kiedy on tylko udaje takiego. W panu Linkowskim, zamiast owych poważnych, surowych mężów Sparty, widzieliśmy jakiegoś wesołego dobrodusznego, nawet śmiesznego staruszka; a cóż powiedzieć o pannie Mireckiej i pani Holtzmanowej? Pierwsza przestraszona, skulona, jakby okradziona w swym kusym stroju, miała niby przedstawiać owych śmiałych, dziarskich, zahartowanych i na wszystko gotowych się rzucić spartańskich młodzieńców, druga zaś uosobić wdzięk i plastyczną piękność sławnych córek Hellady! cóż więc dziwnego, że całość sztuki wyszła jako parodya i zamiast zająć, najprzykrzejsze czyniła wrażenie, jakiegoś ubóstwa personelu, jakiegoś zaniedbania w obsadzie. Zresztą sztuka ta zrozumiałą i dostępną jest tylko dla znacznej mniejszości, a jeśli przytem dobrze obsadzić jej nie można, to do czegoż ją dawać?

„Pantofel“ oryginalna jednoaktowa komedya S. Łuniewskiego, znanego publicysty i powieściopisarza, po raz pierwszy występującego na deski teatralne, dobrze wróży i o jego scenicznym talencie. Jakkolwiek jest to rzecz mała, lecz napisana z werwą i dowcipem, słucha się z przyjemnością i zapewne w repertuarze pozostanie. Treść jej następująca: stary jegomość przez żonę heroda zawojowany, w dzień swych imienin otrzymuje od niej w darze parę haftowanych pantofli. Jeden z nich gubi, a bojąc się żony, biedzi się i objawia w Kuryerze, że za znalezienie tej zguby da nagrodę jakiej znalazca zażąda. Z tego pragnie skorzystać ładna córeczka, mając trzech konkurentów, z których jednego proteguje ojciec, drugiego matka, a ku trzeciemu serduszko jej się skłania. Oddaje mu więc pozostały pantofel i namawia ażeby wrócił tę zgubę i tem ojcu się przysłużył. Jeszcze ogłoszenie nie zostało wydrukowane a już znalazła się zguba w sposób dziwny, bo na placu Zielonym, chociaż uronioną została na ulicy Miodowej. Ztąd rozmaite zabawne zajścia, do których przyczyniają się dwaj konkurenci panny Hipolity, wyborne oryginalne typy, a wszystko kończy się straceniem pantofla i zezwoleniem rodziców na wyjście córki za doktora Teofila, którego właśnie nie życzyli sobie. Sztuka z widocznym talentem napisana, potrzebuje jednakże niektórych skróceń, nuży bowiem nieco za długo bez potrzeby się przeciągając. Są to małe niedokładności, które zwykle dopiero na scenie, po pierwszem przedstawieniu widzieć się dają.

Wszyscy artyści bez wyjątku: panie Micińska i Czakówna, oraz pp. Ostrowski, Wolski, Grzywiński i Morozowicz, grali znakomicie, nawet mała rola stróża przez p. Sikorskiego, artystycznie była odtworzona. Autora zawzięcie wywoływano, ale nie raczył się ukazać.

Hieronim Kuczalski.

POGADANKA.

Rozjubileuszowaliśmy się na dobre, tak, że wkrótce trzeba będzie urządzić jubileusz jubileuszów. Miło to zapewne być, choćby przez kilka godzin przedmiotem uwielbień, odbierać powinszowania, uczestniczyć w owacyach i módz sobie powiedzieć: to wszystko dla mnie!

Ceniąc wielki talent i wielkie zasługi pani Dowiakowskiej, doznawałem sam przyjemności, patrząc na te serdeczne owacye, jakie jej robiono w dzień 25-letniej rocznicy pierwszego występu. Nie często się zdarza widzieć taki gorący współudział całej publiczności. Z każdą chwilą temperatura uczuć widzów podnosiła się, oklaskom nie było końca, a kwiaty sypały się jak z rogu obfitości!

Ah te kwiaty!

Ile razy widzę ich piękne kieliчhy, barwne sukienki a wonna atmosfera mnie ogarnia... czuję się szczęśliwym. Gdyby tak można przebyć życie ca-

łe w pośród kwiatów? Szkoda tylko, że trwałość ich krótka, że zbyt rychło zwieszają omdlałe główki, bo wtedy robi się nam smutno...

Lecz to marzenia tylko. Życie musi przeplatać wesołość i smutki.

W czerwcu dwa jeszcze jubileusze będziemy obchodzili. W Warszawie urządza grono wielbicieli Żółkowskiego osobne przedstawienie, na którem będą jubilatowi wręczone drogie podarki, panie pospieszą z kwiatami. Jest projekt, ażeby każda z pań znajdujących się w lożach miała w ręku bukiet. Czyż to nie zachwycający będzie widok: dwa wieńce dookoła sali — jeden pięknych strojnych główek, drugi z kwiecia stubarwnego. A który piękniejszy?

W Krakowie będzie obchodzony jubileusz Jana Matejki, najznakomitszego dziś malarza polskiego. Dwadzieścia pięć lat pracy artystycznej ma po za sobą ten dzielny mistrz, sława świata całego zdobi mu skronie aureolą nieśmiertelności, a serca całego społeczeństwa śpiewają mu hymn wdzięczności.

Jak dotąd obchód ten ma bardzo szczupły program, lecz nie wątpimy, że udział w nim wezmą ci wszyscy, którzy w podwawelskim grodzie składali hołd Kraszewskiemu. Nie wdajemy się tu w porównanie, lecz mistrz naszego historycznego malarstwa nie mniejszej wart czci i uznania.

Dostawszy się raz w koło artystyczne idźmy dalej. Oto wiadomość, którą podaliśmy przed kilku tygodniami sprawdziła się: Andriolli na pewne wyjeżdża do Paryża.

Po zgonie Dorego potrzebowali Francuzi dobrego illustratora — wybór padł na Andriollego. Nie wątpimy, że artysta, który w swych dotychczasowych pracach liczył dzieła piękne, nie zapomni, że zagranicą będzie reprezentował sztukę polską. Jako obcy będzie miał do zwalczenia trochę niechęci u kolegów i krytyki, ale tę prawdziwym artyzmem zwycięży.

Obok tych wiadomości z dziedziny prawdziwej sztuki, możemy zanotować fakt świadczący o dziwnej fantazyi natury. Warszawa zachwyca się maleńką, bo ośmioletnią wirtuozką na skrzypcach Ernestyną Boucher. Słuchacze nie mają dość słów na wychwalanie tego *cudownego dziecka*, zachwyty przechodzą zwykłą miarę, stają się przesadą graniczącą z szaleństwem. Dziecko to istotnie niepospolite, ale tylko dziecko. Należałoby je kształcić, może się wychowa kiedyś na artystkę, lecz dziś te niepomierne uwielbienia mogą charakter zwichnąć a talent złamać.

Może się mylimy, lecz dla nas sztuka była zawsze i jest potęgą ducha, którego dziecko mieć nie może. Ze sztuką idzie w parze podniosłość uczucia, inteligencya, granie cudownego dziecka choćby najświetniejsze, to tylko szumne frazesy. Zresztą ileż to już słyszano takich cudownych dzieci— artystów wszakże wyrosło nie wielu.

Dziś dziecko jest dzieckim jeszcze, lecz oklaski i pochwały postarzeją wkrótce młodziuchną duszę. Za lat jakich parę patrząc jak przyjmują najznakomitszych wirtuozów, powie sobie: jam większą, bo na mój widok ludzie szaleją.

Lecz mniejsza tam o tę *artystkę*, która wnet opuści Warszawę i zapomną o niej. Nam szkoda tyle miejsca w łamach pism codziennych, jakie jej poświęcają, jakby nie było w domu spraw ważniejszych.

Artykułów dłuższych widocznie mało kto czyta. Publiczność przywykła już do sensacyjnych wieści opowiadanych krótko, a strasznie lub kwieciście. Na dowód przytaczam tytuły artykulików, jakie znalazłem na *jednej* tylko stronicy pewnego pisma codziennego. Oprócz *jedenastu* dotyczących najrozmaitszych spraw bieżących, mniej lub więcej ważnych znajdują się tam następujące: „Młoda samobójczyni“, ‚Dwa podrzucenia“, „Otrucie chloroformem“, „Mężobójstwo“ i „Straszna zbrodnia“.

Czyż to nie ciekawe? A jak pięknie świadczy o naszych stosunkach? Jak to dobrze musi być tam gdzie takie straszne wypadki są na porządku dziennym? Zresztą dzieją się podobne rzeczy wszędzie, nam chodzi tu tylko o to, że pisma opisując fakta tego rodzaju przyzwyczajają publiczność do lektury nie zdrowej, a poprawy społeczeństwa przez to wcale się nie osiągnie. O faktach większej doniosłości, o rzeczach pożytecznych dają się wzmianki, a literatura sensacyjna i skandaliczna rozwija się jak w wygodnych fotelach w szpaltach Kuryerków. Inne pisma nie popadły jeszcze w tę chorobę—a jednak publiczność mniej je czytuje!

Czasem wszakże i z takiej literatury można się czegoś dowiedzieć. Oto przekonywamy się np., że duch rycerski w rodzie męzkim wygasa, upada zupełnie. Gdzież to te piękne czasy, kiedy dla kobiet miano cześć wzniosłą, a słowo mężczyzny, było jak stal pewne. Donżuanerya kwitnie jak chwast, którym karmią się — nie konie a wypadki z bruku, notowane codziennie sprawiają nader nie miłe wrażenie. Szacunku dla kobiet na ulicach Warszawy musi przestrzegać — policya!

Istotnie nie wiemy gdzie szukać przyczyny tego złego, boć przecież tak dawniej nie bywało — więc chyba w wychowaniu — to byłoby smutne. Ileż to razy zdarza się nam czytać lub słyszeć o wypadkach złamania słowa przez narzeczonego, nieraz w przeddzień ślubu. I dziwić się potem, że kobiety żalą się na drugą połowę rodu ludzkiego i mówią tak wiele o emancypacyi? Że pytając się *kto winniejszy?* potępiają tych, którzy burzą dom, rodzinę, szczęście własne i drugich depcą, sobie samym nie zdobywając nic.

Czasby się poprawić!

Dla Czytelniczek nie obojętną będzie wiadomość o nowej gwiazdce, która na horyzoncie działalności kobiecej się pojawia. Jest nią królowa rumuńska Elżbieta, pisująca pod imieniem Carmen Silva. Utwory tej autorki w koronie, nacechowane są urokiem uczucia i ponętną formą zarazem. Jedno z pism warszawskich podało przekład „Baśni o cierpieniu“. Rzecz to bardzo piękna, pełna poezyi.

„Cierpienie było pięknem wysmukłem dziecięciem o hebanowych włosach i bladej twarzyczce.

„Wązkie jego usteczka były zawsze zwarte, a czarne oczy tak smętne, iż na nie patrzeć nie można było bez serdecznego płaczu“.

„Życie cierpienia było tułacze, z miejsca na miejsce przechodząc, szukało spokoju, słonecznego blasku. Lecz nie znalazło go.

Bardzo pięknie jest opisane spotkanie się z *cierpliwością*.

„Biedne ty drogie cierpienie! — mówiła cierpliwość. — Czemuż musiało przyjść ku mnie, gdy mnie nikogo oszukać nie wolno, ani też niezawołanej nikomu, nikomu się nie pokazywać. Siedzę tu i tylko czuwam i słucham. Często bardzo chodziłam za śladami twemi po świecie, ale niestety nie zawsze. Cierpienie przytuliło głowę do jej macierzystego łona.

— O chodź zawsze ze mną! — prosiło cicho.

— Dziecko moje — odrzekła — nie mogę, gdy mnie zawołasz przyjdę do ciebie, gdy się zmęczysz w drodze wracaj do mnie.“

„Cierpienie poszło dalej.

Na drodze, w pośród łanów zboża stała prześliczna dziewczyna z kosą w ręku i pracowała lepiej i silniej, niż trzech silnych mężczyzn.

— Dzień dobry, blada panienka zawołała spostrzegłszy cierpienie. Chodźno tu pomódz mi i podskoczyła żwawo, tak, że długie jej warkocze rozbujały się w powietrzu a habrowe oczy zaśmiały się jak dwie zorze.

— Kto jesteś? spytała zdziwiona i spoważniała nagle, spojrzawszy w ciemne smętne oczy.

— Jestem cierpienie i wiecznie tułać się muszę. Ale ty kto jesteś?

— Jestem praca, czyż mnie nie poznajesz?

I mówiąc, wzięła cierpienie jak dziecko na ręce i pobiegła z niem przez pola, śmiejąc się i przyśpiewując.

Na twarz cierpienia wystąpił lekki rumieniec, a nawet, o dziwo! i uśmiech swobodny.

— Chodź ze mną, powiedziało, mnie nie wolno nigdy spocząć, a męczę się tak często.

— To nie tak łatwo jak myślisz siostrzyczko, odparła praca. Ja w nocy spać muszę, aby w dzień pracować. Jestem wszędzie i nigdzie i śmieję się ciągle, a gdybym tak ciebie zawsze miała przed oczyma, toby mi uśmiech zamierał na ustach. Nie mogę więc być zawsze z tobą, ale gdy mnie zawołasz, przyjdę i zostanę tam, którędyś przechodziła, aby twarze na nowo rozweselić“.

Wszak przyznacie, Czytelniczki, że to obraz bardzo piękny. Istotnie tylko cierpliwość i praca łagodzą cierpienia, których tak wiele! Jedne moralne, drugie fizyczne, a często oba idą w parze.

Oby cierpliwość i praca zawsze były pocieszycielkami, oby nigdy z cierpień nie rodziło się — zwątpienie!

Z kroniki najważniejszych faktów kilka mamy do zanotowania.

Oto akt spółki muzeum pszczelniczego, o którem już niejednokrotnie pisaliśmy, został wreszcie podpisany. Kapitał zakładowy muzeum wynosi *czterdzieści tysięcy rubli* — więc można liczyć, że się jego działalność odrazu uwidoczni. Środki są po temu, chęci pewno dobrych także nie braknie.

Bardzo piękną myśl powzięło grono literatów w Warszawie i do jej wykonania już przystąpiono. Zebrano fundusz na tanie wydawnictwo *dziesięciogroszowe* dla ludu i mieszczaństwa mniej inteligentnego. Myśl to bardzo szczęśliwa, bo wprowadzona w życie umożliwi bardzo szerokim kołom nabywanie dziełek pożytecznych, podnoszących ducha, kształcących rozum, lub też mających znaczenie praktyczne. Dotychczas żalono się ciągle na wysokie ceny książek wogóle i upatrywano w tem przyczynę małego ich rozpowszechnienia. Wydawnictwa tanie usuną tę zaporę, a zarazem przekonają nas, czy istotnie względy materyalne tak dalece tamowały rozpowszechnienie wiedzy w sferach maluczkich.

Pierwsza książeczka wydana staraniem tego komitetu nosi tytuł: „Nauka rachunków — cztery działania liczbami całkowitemi.” A więc od strony praktycznej rozpoczęto działanie. Nie wątpliwie znajdą się w tym zbiorze i dziełka treści moralnej i społecznej, a chcemy mieć nadzieję, że kierunek ich będzie zdrowy, nie przesiąknięty duchem pozytywistycznym, który coraz bardziej schodzi na manowce.

To dla maluczkich, dla wyższej inteligencyi po za obrębem Warszawy projektują rzecz bardzo pożyteczną. Oto idzie tu o powtórzenie odczytów warszawskich w większych miastach prowincyonalnych. Jeśliby ten projekt przyszedł do skutku szczerze byśmy byli radzi, bo odczyty te miały wartość znaczną, a prelegenci — amatorzy, jacy z konieczności nieraz występują przed publicznością na prowincyi nie gniewaliby się, że ich zastąpią mówcy z powołania.

Es. Zet.

PRZEGLĄD LITERACKI.

Cecylia. Sas-Łada. Pamiętnik Mamy. Opowiadanie dla dzieci. Lwów 1883 r.

Ozdobnie pod względem typograficznym wydana książeczka: „Pamiętnik Mamy", niezaprzeczenie na tę piękną sukienkę zasługuje. Są to wspomnienia lat dziecięcych, przeplatane różnemi uwagami i radami opowiedziane przez matkę jej małej córeczce. Rzecz cała napisana jest lekko, barwnie i potoczyście co budzi wielkie zajęcie w młodych czytelnikach chciwych dowiedzenia się co to ich rodzice robili, gdy jeszcze dziećmi małemi byli.

W opowiadanie te wplecionych jest parę postaci dziecinnych, mających rozmaite usposobienie, między któremi złośliwa Józia pierwszeństwo trzyma. Postać ta dobrze uchwycona i jakby na to do opowiadania wprowadzona, aby wykazać mogła jakiemi grzeczne i dobrze wychowane dziewczynki być nie powinny.

Teofila Nowosielskiego i Maryi Ilnickiej. Dzieje Polski w obrazach, wierszem i prozą dla dzieci napisane. Kraków 1882 r.

Sam tytuł powyższej książeczki, określa treść jej, która i tak już znaną jest z poprzednich wydawnictw.

Pod względem typograficznym jako też i illustracyjnym skarbiec Polski dla dzieci, nic do życzenia nie pozostawia.

Kalinowski Karol. Pamiętnik mojej żołnierki na Kaukazie i niewoli u Szamila od r. 1844 do 1854 roku. Warszawa 1883 r.

Z objęciem redakcyi „Wędrowca" przez p. Dawida, rozpoczęło się też i wydawnictwo w dodatku książkowym, powyższego dziełka nakreślonego przez zmarłego w Warszawie 1882 r. Karola Kalinowskiego. Wspomnienia te wyjątkami przed parą laty drukowane w Gazecie Lubelskiej obecnie zebrane w całość, jako też uzupełnione resztą pamiętnika, pojawiły się na półkach księgarskich, stanowiąc jeden przyczynek więcej do historyografii, etnografii i leksykografii.

„Nie masz bardziej zajmującej księgi, powiada autor, jak życie człowieka co przechodził rozmaite koleje nieszczęść. W niej to czerpać możemy zbawienne dla siebie prawdy, praktyczność których stwierdziło doświadczenie. Tam znajdujemy bezdroża błędów, których unikać winniśmy i wytknięte drogi cnoty po których kierować się mamy."

Mimo, że autor jak to sam mówi, nie ma pretensyi i talentu do „kunsztownego" przedstawienia wydarzeń, jednak przyznać musiemy, że pamiętnik cały napisany jest z pewną wprawą i umiejętnością władania piórem.

Opisawszy treściwie i zwięźle pierwsze chwile życia swego, jako też przebyte koleje, autor zaczyna swe opowiadanie od chwili, w której za wyrokiem jako prosty żołnierz dnia 15 grudnia 1844 roku wyruszył z Warszawy na Kaukaz.

W rok prawie później 10 lipca 1845 roku Kalinowski stanął na miejscu swego przeznaczenia.

Roku 1846 będąc rekonwalescentem przechadzał się koło ogrodów warzywnych należących do fortecy, gdy oto nagle zaskoczony przez Tatarów, porwany i uprowadzony został w niewolę z której dopiero r. 1852 umknąć zdołał. Cały ten peryod życia aż do chwili powrotu do kraju roku 1854 przeplatany jest opisami nader zajmującemi, tak miejscowości, zwyczai i obyczai Czeczeńców jako też i innych kaukazkich narodów wśród których lat 8 spędził i dla ulżenia ciężkiej doli był zmuszony przyjąć islamizm.

W opowiadania te obznajmiające nas z tamtejszemi stosunkami, wplecioną jest także rzewna opowieść o pięknej a nieszczęśliwej Ezandzie w której się nasz wygnaniec kochał i którą miał nawet poślubić. Bezstronnie sądząc Pamiętnik Kalinowskiego śmiało zaliczonym być może do rzędu lepszych dzieł tego rodzaju, bo budząc zajęcie wiele uczy i objaśnia czytelnika. Szkoda tylko, że pod względem typograficznym wydawnictwo te wiele do życzenia pozostawia. Język także bardzo wadny i dziwić się należy, że choć w korekcie dość niestarannej, nie został poprawiony.

Wł. Kor. Zieliński.

Z KRAJU I Z ZAGRANICY.

*** Na ostatniem posiedzeniu komitetu Towarzystwa Osad Rolnych i Przytułków Rzemieślniczych, zapadła decyzya względem wprowadzenia w życie świeżo zatwierdzonej ustawy przytułków rzemieślniczych. Pierwszy taki przytułek dla chłopców ma być otwarty w dobrach Orłowie, pochodzących z zapisu ś. p. hr. Kickiego, a następnie Towarzystwo przedsięweźmie odpowiednie kroki celem otwarcia takiegoż przytułku dla dziewcząt w okolicach Warszawy. Niedole dziecięce coraz więcej zwracają uwagę myślicieli, w połowie czerwca odbyć się ma w Paryżu kongres w tym przedmiocie, na który rozesłano liczne na wszechstrony zaproszenia. W Warszawie otrzymało je Towarzystwo Osad Rolnych, a z osób prywatnych pan A. Moldenhawer, z którego prac korzystało nie jednokrotnie francuzkie Towarzystwo opieki nad dziećmi moralnie i materyalnie zaniedbanemi.

*** Otrzymaliśmz z Boloniii list, którego treścią dzielimy się z naszemi Czytelniczkami.

Dnia 14 b. m. nasz poeta-rzeźbiarz Teofil Lenartowicz, rozpoczął w Bolonii prelekcye literatury słowiańskiej, w bolońskiem Ateneum. Wielką salę zapełniła młodzież Akademicka, profesorowie, wielu miejscowych dygnitarzy i grono dam. Mówcę powitano przeciągłemi oklaskami i słuchano z natężono uwagą, jasnego, porywającego i gruntownego zarazem wykładu. Po skończonej prelekcyi, sala zatrzęsła się od oklasków, młodzież akademicka otoczyła poetę prawie nie dając mu zejść z katedry i najserdeczniej dziękując za wykład. W pośród słuchaczy znajdował się pewien Czech i cieszył się niezmiernie widząc z jak szczerym zapałem Włosi słuchają i poznać pragną piśmiennictwo słowiańskie. Była to pierwsza prelekcya po której niebawem nastąpi jeszcze kilka jedną tworzących całość. Gazety włoskie podziwiają rozległą wiedzę prelegenta, oraz obrazowość stylu podniesioną poetyckiem natchnieniem.

*** Zarząd pomocy naukowej dla młodzieży naszej w Szwajcaryi, ogłosił sprawozdanie za rok 1882. Byt instytucyi tej zapewnił ś. p. hr. Krystyn Ostrowski, zapisując na rzecz jego znaczny legat, który po ukończeniu rachunków spadkowych, przyniesie o ile się zdaje 11,000 fr. dochodu. O znaczną stratę przyprawił tę pożyteczną instytucyę rząd kantonu Vand, w którym zakończył życie ś. p. Krystyn Ostrowski, który zamiast uwolnić od opłaty instytucyę dobroczynną, kazał sobie i miastu Lozannie zapłacić 100,000 fr. Z dochodów od zapisanej sumy uorganizowano w różnych krajach pomoc naukową i od 1 stycznia r. b. wypłacane już są stypendya. Ułatwią one kształcenie się w wyższych zakładach naukowych uczniom pozbawionym środków materyalnych. Sprawozdawca oddaje młodzieży polskiej chlubne świadectwo, że odznacza się zdolnościami i pilnością, niepodziela dążności do przewrotu i anarchii, objawiającej się w młodzieży innych narodowości. „Zachęcona i poparta, mówi, stanie się ważnym żywiołem dla kraju, którego przyszłość w niej spoczywa, należy więc wielką przywiązywać wagę do rozwijania jej władz umysłowych i kształcenia strony moralnej." Zarząd już lat 18 pracuje wytrwale na korzyść naszej młodzieży.

*** Ziemia górno-szlązka, zawiera w swojem łonie wielkie bogactwa kopalne; oprócz dawno znanych, odkrywają coraz nowe. W niektórych okolicach odkryto tak bogate pokłady siarki, że liczne fabryki w Niemczech nie będą już potrzebować sprowadzać jej z Sycylii i innych krajów — a roczne zapotrzebowania tejże wynoszą w Niemczech przeszło 25,000 tonn. Droga żelazna z Rybnika do Annabergu (przez Wodzisław) ciągnie się przez część pól siarczanych. W tych okolicach znajduje się i węgiel kamienny, oraz margiel wapienny, w którym mieści się siarki od pół do 7 metrów grubości. Za górami Tarnowskiemi znaleziono nowe i bogate skarby rudy żelaznej, której właśnie brakowało dotąd na Górnym Szlązku i którą huty musiały sprowadzać z daleka. W Zabrze odkryto bardzo dobry węgiel kamienny a w Pstrząśnie pod Rybnikiem wielkie pokłady margłu, węgla brunatnego, kawałki bursztynu a nawet i topazy.

*** Z okoliczności śmierci i pogrzebu John'a Brown, starego kamerdynera księcia Alberta a po jego śmierci owdowiałej królowej Wiktoryi, na którego paradny pogrzeb wyprawiony kosztem królowej, zebrały się niezliczone tłumy ludu, cała trumna pokryta była wieńcami, wśród krórych zwracał uwagę najwspanialszy od królowej, z napisem własnoręcznym na żałobnej kartce: „Dań (tribut) kochającej, wdzięcznej i wiecznej przyjaźni i przywiązania, od jego prawdziwej najlepszej i najwierniejszej przyjaciółki, Wiktoryi, królowej i cesarzowej". Dzienniki angielskie zwróciły wogóle uwagę na tę dziwaczną czułość okazaną zmarłemu kamerdynerowi, a tworzącą tak rażącą sprzeczność ze sztywną ceremonialnością dworu angielskiego, konwencyonalnem i zimnem zachowaniem królowej wobec śmierci swych najznako-

mitszych dygnitarzy a nawet osobistych przyjaciół jak np. Disraelego. Oto jak nowoyorski „Herald” tłomaczy ten rzeczywiście dziwny stosunek monarchii do kamerdynera.

„Królowa Wiktorya najlepiej lubi przebywać w Szkocyi, w zamku Balmoral, należącym dawniej do jej ukochanego, dotąd opłakiwanego małżonka. Tam wszystko jej go przypomina i najmilsze przywodzi wspomnienia i dlatego wyobraża sobie, iż tam może przestawać z jego duchem. Pośrednikiem (medium) zaś między nią a zmarłym był właśnie wierny, zmarły obecnie Szkot John Brown — i oto dlaczego posiadał szczególne względy i nieograniczoną ufność monarchini. Królowa Wiktorya chciała mu nadać szlachectwo, skromny starzec odmówił tego zaszczytu.

Jeszcze za życia Brown'a marmurowe popiersie jego pomieszczone zostało w gabinecie królowej na etażerce, w pośród portretów rodziny królewskiej. A wszystko to z powodu, iż był on, że tak powiem, ministrem spraw zagrobowo-duchowych królowej ze zmarłym jej małżonkiem.

Niejednokrotnie w najważniejszych sprawach, królowa na razie nie objawiała zdania swego ministrom, żądała czasu do namysłu, rzeczywiście zaś do porozumienia się z duchem księcia Alberta. Duch ten najchętniej pojawiał się w Balmoral. Królowa udaje się do sypialni nieboszczyka i siada w ulubionym jego fotelu. Na krześle przy łóżku, leży nocne ubranie księcia, jakby przygotowane dla niego; ogień płonie na wielkim marmurowym kominie; John Brown przynosił na srebrnej tacy rosół z krupami (basin of gruel) ulubioną potrawę nieboszczyka, którą jadał zawsze udając się na spoczynek, i z ceremonialnym ukłonem stawia na stoliku przy łóżku.

Królowa miała przygotowany papier i trzymała w ręku ołówek, poczem wywołując ducha męża, czyniła odpowiednie do potrzeby zapytania — na które odpowiadało krzesło zajęte niby przez ducha, poruszając się i uderzając o posadzkę. Wiadomo że według alfabetu spirytystów, ilość uderzeń oznacza pewną literę. Królowa zapytywała o nią starego sługę, zapisywała z kolei i ztąd powstawała odpowiedź ducha księcia, do której zawsze stosowała się niepocieszona wdowa. Któż teraz zastąpi Brown'a?

Nie jestto nieprawdopodobne—ale czy prawdziwe? zostawiamy odpowiedzialność nowoyorkskiemu „Herald'owi”?

*** „Now. Wremia” podaje, że pewien fabrykant broni w Samarze, podobno Niemiec rodem, wynalazł sposób użycia nafty na materyał opałowy. Pierwej już próbowano posługiwać się naftą do tego celu, ale zdolność jej wybuchowa której usunąć nie umiano, udaremniała pokuszenia. Otóż wspomniany fabrykant miał obmyśléć jakieś zasuwki i wynaléźć proszek neutralizujący zdolność wybuchową nafty, nie pozbawiając jej właściwych zalet jako materyału opałowego. Przyrząd składa się z wiadra i małej trąbki, konstrukcya ma być bardzo prosta, dająca się z łatwością zastosować do każdego pieca. Wynalazca przyrządu przez całą zimę opalał naftą swe mieszkanie; nietylko że nie ma swądu ani sadzy, ale nadto ogień naftowy ma oczyszczać piece. Opał naftą ma według twierdzeń wynalazcy stanowić wielką oszczędność w gospodarstwie domowem, zwłaszcza obok groźnych zapowiedzi, że przyjdzie czas w którym węgla może zbraknąć, a lasy już obecnie są nadzwyczaj wyniszczone. Wynalazca stara się o przywilej na swój wynalazek i wniósł w tym celu podanie do odeskiego wojenno-technicznego komitetu.

*** Korespondent z Ameryki do jednego z dzienników angielskich, tak opisuje bytność swoją w miejscowości przy Crosby Street, w Nowym Yorku, urządzonej dla palaczy opium. „Gdy zapukałem do drzwi, pojawił się jakiś człowiek żądając od nas po 25 cent. jako opłatę za wejście, poczem weszliśmy do wielkiej izby, przybytku w którym zwolennicy rozkoszowali się paleniem opium. Pod ścianami urządzony był rodzaj estrady, na której leżeli palacze; z jednej strony dwóch mężczyzn, z drugiej cztery kobiety. Trzy były to śpiewaczki z jakiejś *Café Concert*, czwarta wyglądała na wielką panię, piękny powóz oczekiwał na nią przed bramą, a nadto odziana była w bardzo kosztowne futro, które oddała gospodarzowi do schowania. Z mężczyzn jeden miał skład trunków, drugi był subjektem w jakiejś księgarni. Po niejakiej chwili jedna z kobiet ocuciła się i zawołała o fajkę. Stojący w progu gospodarz, chińczyk Ah-Lee, zaczął zaraz obracać szybko opium nad płomieniem lampki spirytusowej, dopóki nie nabrało potrzebnej gęstości, poczem umieścił je w rurce bambusowej i podał owej pani, która pociągnąwszy parę razy, wróciła do pierwotnej pozycyi, leżąc nieruchoma, jakby we śnie pogrążona.

Trudno wyobrazić sobie jak wstrętnym jest widok palaczy opium, bladych, wycieńczonych, leżących jakby w pół-śnie, z oczami przewróconemi. Namiętność ta rozszerza się coraz więcej, tak iż pomimo nadzwyczaj surowych kar i zakazów, zakładów podobnych bardzo wiele istnieje już w Nowym Yorku, i smutna rzecz! ten wstrętny nałóg *upijania się* opium, szerzy się najwięcej pomiędzy osobami najlepszego towarzystwa, a w ich gronie przeważną większość stanowią kobiety. Niestety! wiemy od jednego z najznakomitszych doktorów naszych, że straszna ta namiętność coraz więcej i u nas grasować zaczyna. Wielu bardzo chorych, dziś już nieuleczalnych, temu ohydnemu nałogowi zawdzięcza stan swój opłakany.

OPIS RYCINY KOLOROWEJ.

Ubranie spacerowe z mantylą. Na spódnicy z kosztownego jedwabnego adamaszku zakończonej u dołu wąziutką gładką falbaneczką, ułożoną w kontrafałdy, dana jest draperya i stanik z gładkiego kaszmiru. Okrycie formą mantyli, uszyte z ciężkiej materyi *ottoman* przybrane szeroką koronką chantilly, sznelową frendzlę, kokardami i wspaniałym haftem sznelowym; końce szalowe spuszczone z przodu oszyte są bardzo szeroką frendzlą. Kapotka koronkowa z rondkiem podniesionem w ząb nad czołem.

Ubranie spacerowe z pelerynką. Spódnica z szerokiem plisowaniem podszytem wąziutką falbaneczką. Tunika w górze dopełniona bufą, u dołu obszyta plisą aksamitną, otoczoną hiszpańską koronką. Kokardy aksamitne. Kapotka z tiulu i koronki zdobna wązką wstążką.

Odpowiedzi od Redakcyi.

Pani Jadwidze Syr. w Wojgowie. Widok Wilanowa wykonany czarnym haftem był umyślnie zrobiony na wystawę i został wynagrodzony medalem.

Pa. Wo. w Rożyszczach. Jakie dołączane są dodatki tygodniowe ubiorowi poświęcone, to w każdym numerze w samym końcu jest ogłoszone. Do numeru 13, należała jedynie rycina kolorowa.

Zawiadomienia.

Pragnąc coraz więcej rozwijać działalność opartą na zdobytem już zaufaniu Prenumeratorek Tygodnika Mód i Powieści, Redakcya ma zaszczyt podać do ogólnej wiadomości, że pod swym nadzorem urządziła pracownię wszelkich **ubrań i strojów damskich** nie wyłączając **bielizny** i oddawszy ją pod główny kierunek osoby należycie uzdolnionej, przyjmuje wszelkie obstalunki tak z materyałów jej powierzonych jak i z własnych, wykonywa je według najświeższych wzorów paryzkich, ręcząc za staranne wykończenie i uczciwy stosunek z interesantkami.

Adres: **Do Redakcyi Tygodnika Mód i Powieści oraz Przyjaciela Dzieci — Widok Nr 3.**

Polki wyjeżdżające do Paryża, celem wykształcenia się w obranych przez siebie zawodach mogą znaleźć u jednej z rodzin polskich w tem mieście mieszkanie ze stołem, usługą i prawdziwie rodzicielską opiekę. Bliższą wiadomość o warunkach nader przystępnych, można powziąć w Warszawie w Redakcyi Tygodnika Mód i Przyjaciela Dzieci Widok Nr. 3.

Do dzisiejszego N-ru Tygodnika Mód dołącza się dodatek z drzeworytami i rycina kolorowa.

Дозволено Цензурою, Варшава 12 Апрѣля 1883 г. Redaktor **J. K. Gregorowicz.** Wydawca **E. Skiwski.** Druk **E. Skiwskiego,** Chmielna N. 1530 (20).

Dodatek.

Dodatek z powieściami do Tygodnika Mód Nr. 17, r. 1883.

NIEBEZPIECZNE MAŁŻEŃSTWA.

I.

TRZY ŻONY HENRYKA SMIRT.

przez

ANAIS SÉGALAS.

Przekład **J. B.**

(Dalszy ciąg.)

— A więc, rzekła do niej margrabina, pan d'Armangis był twoim klientem na tym bazarze?

— I jednym z najhojniejszych; kupił odemnie za bajeczną cenę rękawiczki, a jednej z moich przyjaciółek, hrabinie C*** która wtedy była kwiaciarką, zapłacił pan d'Armangis sto franków za bukiet z białego bzu. Pewna jestem że osoba której ofiarował pan ten bukiet, musiała podziękować mu bardzo czule, dodała z lekkim odcieniem złośliwości.

— Naturalnie, ucałowała mnie serdecznie.

— Oh! nie opowiadaj pan szczegółów! zawołała.

— Dla czegóż? kupiłem ten bukiet dla...

— Ależ nie pytam o to! przerwała; chcę wierzyć że kupił go pan dla miłości Boga...

— I dla miłości mojej córki dokończył.

— Jakto! zawołała z niesłychanem zadziwieniem, kupujesz pan córce podobne podarunki.. Przyznam się że nigdyby mi to nie przyszło do głowy... Ależ to doprawdy budujący przykład ojcowskiej miłości.

„Pani de Villeneuve ma słuszność pomyślał sobie pan d'Armangis, ta kobieta nie jest dobrą."

— Ach! zawołała pani de Forgy, otóż pani Dermont wchodzi do swej loży — widać odzyskała już zdrowie... jakże mnie to cieszy!.. Biedna kobieta!

— Alboż chorowała? zapytała pani Villeneuve.

— I bardzo niebezpiecznie... Skutkiem farbowania włosów, o mało nie dostała zapalenia mózgu. A! państwo Rimbert weszli do jej loży!.. jak oni śmią pokazywać się publicznie!.. przecie całemu światu wiadome jest bankructwo męża i upadłość cnoty żony.

— No, pomyślał sobie pan d'Armangis, niepodobna ją posądzić o nadmiar chrześcijańskiego miłosierdzia.

Podniesiono kurtynę i pani de Forgy zniewolona była powstrzymać swą złośliwość aż do następnego międzyaktu.

Po pierwszym zaraz akcie, zaczęła niemiłosiernie krytykować przedstawioną sztukę, zwracając złośliwy swój dowcip, jakby kartaczownicę, przeciw nieszczęsnemu autorowi.

— Szalenie lubię bywać na pierwszych przedstawieniach, rzekła do pani de Villeneuve, szczególniej jeźli sztukę wygwizdają — to taka niezwykła i zabawna muzyka!.. A wszystko mi się zdaje że dziś ją usłyszemy — już to samo że sztuka przedstawiona w lecie, nie wiele każe się spodziewać... Ale, ale, zapomniałam powiedzieć pani!.. Oto pani de Manville u której miałam przyjemność poznać panią, dała jej adres dawnego mego mieszkania, i tam też oddano łaskawy jej bilecik, który dopiero mi odesłano do nowego. Zmieniłam lokal, i właśnie szukanie i urządzanie teraźniejszego, nie dozwoliło mi dotąd opuścić Paryża.

— A gdziesz pani mieszka teraz? zapytała pani de Villeneuve.

— A! wie pani to orginalna historya z tem mojem mieszkaniem!.. Zajmuję teraz nader tajemniczy, niewymownie ciekawy apartament, gdyż poprzedni lokator uczynił go legendowym. Jestto najokropniejszy, najstraszniejszy, najpotworniejszy człowiek pod słońcem!..

— Ach! przerażasz mnie pani! będę się bać ją odwiedzić, odrzekła pani de Villeneuve.

— Czy mogę zapytać któryż to dom jest tak straszny? zapytał pan d'Armangis.

— Dom Henryka VIII, odpowiedziała tragicznym głosem.

— Dom Henryka VIII, powtórzył pan d'Armangis, więc jest to dom historyczny? Ależ, jeźli mnie pamięć nie myli, to Henryk VIII nigdy nie był we Francyi, zatrzymał się przy ciaśninie kaletańskiej, aby roztoczyć tam przepych wspaniałego swego obozu. A zresztą zdaje się że gdyby mu była przyszła fantazya odwiedzić Paryż, najniezawodniej Franciszek I. przygotowałby dla niego apartament w swoim królewskim zamku.

— Ale bo też Henryk VIII o którym mówię nie zasiada na tronie, mieszka w wynajętym lokalu, i nie pobiera ale opłaca podatki. Słowem jestto Henryk VIII któremu zbywa na potędze i władzy dozwalającej utrzymywać katów którzyby na rozkaz jego ścinali głowy jego żonom, i dlatego radzi sobie jak może i pozbywa się ich przez truciznę.

— O nieba! zawołała pani de Villeneuve zaciekawiona tą dramatyczną przedmową; opowiedzże nam pani straszną historyę tego potworu.

— Jestto potwór ale bardzo piękny, bardzo dobrze wychowany, nadzwyczaj uprzejmy dla żon swoich... gdyż wie że nie długo trudzić się będzie... A że zawsze potrafi tak się urządzić, iż w umowie przedślubnej powiedziane jest że małżonkowie zapisują sobie cały majątek na przeżycie...

— Co! zawołał pan d'Armangis, i silny dreszcz go przebiegł. Uspokoił się jednak w jednej chwili, i sam się rozśmiał z mimowolnego wrażenia.

— Zatem, mówiła dalej margrabina, jego jest interesem pozbyć się jak najprędzej choćby najpiękniejszej żony, aby pozyskać piękniejszy dla niego jej posag. Przyznać jednak trzeba że w ciągu krótkiego pożycia, jest dla żon swoich najuprzejmiejszym, ciągle nadskakującym mężem. Mówiono mi że pierwszą obsypywał literalnie ciastkami i cukrami — nie był to mąż ale cukiernik. Ilekroć był z nią w teatrze, miał pełne kieszenie czekoladek i cukierków, które podawał jej w międzyaktach. Pewnego jednak wieczora, właśnie gdy wśród czułych słówek włożył jej do ust jakiś wyborny cukierek z najpierwszej cukierni, czuła ściśnienie gardła, przechyliła w tyłgłowę, zsiniała i zmarła nagle jakby piorunem rażona. Mówiono powszechnie że ów wyborny cukierek zaprawiony był arszennikiem.

— Ależ byłby to fakt podlegający sądom kryminalnym! zawołał pan d'Armangis.

— Nie przeczę — i prędzej czy później może na tem skończy, odpowiedziała. Zabrawszy posag pierwszej żony, łatwo bardzo znalazł drugą jeszcze bogatszą. I dla tej także był czułym, nadskakującym mężem, starał się odgadywać jej myśli i życzenia, tylko dla odmiany, już nie cukrami ale kwiatami ją zarzucał. Codzień ofiarował jej coraz inne bukiety, jedne na bal, drogie do teatru, dość że dzięki jemu życie tej szczęśliwej żony upływało wśród kwiatów, rozsiewanych ręką czułego męża — ale złe języki mówią że kwiaty te posypywane były nader zjadliwą trucizną, którą wciągała wąchając je. Biedna bladła i nikła w oczach, i nareszcie niezadługo rozstała się z tym światem, zabita powolnem otruciem.

— Tak więc mówisz pani, że miły ten mężulek, przez zbrodnicze wyrachowanie, nie wahał się zadawać żonie powolną truciznę, stopniowo popychając ją do grobu, rzekł z niedowierzaniem pan d'Armangis.

— No, pierwsza umarła nagle, aby nie wzbudzić podejrzeń potrzebował w inny sposób drugą zgładzić ze świata.

— I za wspólników ohydnej zbrodni, wybrałby właśnie kwiaty, taką rozkoszą wzrok nasz napawające, i do cudnej woni jaką Bóg je obdarzył, on dorzucałby truciznę? ależ to nie do uwierzenia, rzekł pan d'Armangis.

— Nie jest to przecież niepodobieństwem, odpowiedziała, wszak wiadomo panu że za czasów Katarzyny de Medecis, Réné nadworny jej dostawca perfum, zatruwał niemi rękawiczki.

— A! co prawda, zdaje się że od czasu Réné'go i Katarzyny de Medecis, ludzie nie stali się lepszymi, a może nawet uczynili pewne postępy tak w pomysłach zbrodniczych jak we wszystkich w ogóle gałęziach przemysłu, odrzekł pan d'Armangis.

— Co najokropniejsze, rzekła margrabina, to że jak mi mówiono ów Henryk VIII ożenił się po raz trzeci.

— A! zawołał pan d'Armangis, ależ jeźliby ta nieprawdopobna historya była prawdziwą, sumienie nakazywałoby przestrzedz tę nieszczęśliwą kobietę, aby ją uchronić od śmierci.

— Byłoby to obowiązkiem każdego, rzekła pani de Villeneuve.

— Zapewnie, zapewnie, odpowiedziała obojętnie margrabina, daleko więcej zajęta wrażeniem wywołanem jej opowieścią, niźli losem owej trzeciej żony. Wielką mi to sprawia przyjemność że opowiadanie moje tak żywo państwa zajęło.

— Czy wolno zapytać o nazwisko tego okropnego wdowca, choćby dlatego aby przestać go przyjmować jeźli przypadkiem bywa u mnie, boć nie bardzo to pochlebne zaliczać truciciela do grona swoich znajomych, rzekł pan d'Armangis.

— I owszem, odrzekła, przyjął on nietylko charakter ale bez mała i nazwę Henryka VIII.

— Czy być może? jakże się nazywa?

— Henryk Smirt.

— Henryk Smirt! krzyknęli jednocześnie pan d'Armangis i pani de Villeneuve, z tak niewysłowionem przerażeniem, że margrabina widząc ich bladość, drżenie i nagłą zmianę twarzy, zapytała przestraszona:

— Czy go państwo znacie?

— Przesłyszałem się zapewnie, wyszeptał pan d'Armangis z niewypowiedzianym niepokojem, czy powiedziałaś pani: Henryk Smirt?

— Tak, panie.

— A czy widziałaś go pani kiedy?

— O! mogłam mu się dobrze przypatrzéć.

— A więc, rzekł z coraz większem przerażeniem, chciej pani opisać mi jak wygląda... Mówże pani, dodał niecierpliwie.

— Co się panu stało? zawołała zdjęta obawą pomimo zwykłej pewności siebie. Henryk Smirt może miéć około trzydziestu lat, jest brunet, wysoki, bardzo piękny, tylko jego wielkie czarne oczy mają jakiś złowieszczy wyraz.

Pan d'Armangis drżał jak listek — opis odpowiadał doskonale powierzchowności jego przerażającego zięcia. Chwycił się ostatniej jeszcze nadziei.

— Mieszkasz pani w lokalu który on zajmował przed sześciu miesiącami; czy to w domu przy bulwarze Malesherbes?

— Tak, odpowiedziała, wymieniając piętro i numer domu.

Jakoż był to dom w którym Henryk Smirt mieszkał przed ożenieniem się z jego córką — wątpić niepodobna było.

Nieszczęśliwy ojciec mógł teraz być pewnym że ów zbrodniarz, ów truciciel, ów kandydat do kajdan, był mężem jego jedynej ukochanej córki.

— Zkąd pani margrabina dowiedziała się tej strasznej, ohydnej historyi, zapytał tak nakazującym tonem, iż przestraszyła się nie mogąc przecież pojąć co mu zawiniła. Czy znasz pani rodziców lub rodzinę dwóch pierwszych żon pana Henryka Smirt? Czy od nich dowiedziała się pani o tych dwóch otruciach?

— Nie znam i nie widziałam nawet nikogo z nich, odpowiedziała.

— Jednakże ktoś przecie musiał pani powiedziéć coś nam opowiedziała?

— Ach! doprawdy nie wiem już kto... O tylu rzeczach mówi się w świecie... Ktoś opowiedział mi to jako niezwykłą historyę, ja powtarzam z tej samej przyczyny...

— Aby powtarzać rzeczy mogące pociągnąć kogoś przed sąd kryminalny, trzeba przynajmniej miéć pewność że się mówi prawdę... Należy zbadać fakta, szukać dowodów... Czy je pani może wykazać? odpowiadaj!.. na miłość Boską! odpowiadaj pani.

— Ależ panie, przecież nie jestem inkwirentem sądu karnego, abym miała przeprowadzać śledztwo!

— A więc nie bądź pani oskarżycielem, odrzekł surowo, otwierając drzwi loży, a zwracając się do pani de Villeneuve, dodał: Pojmuje pani że nie podobna mi doczekać do końca przedstawienia.

I blady, przerażony, ze strasznym zawrotem głowy wybiegł na korytarz.

— Przez litość! zawołała margrabina gdy zostały same, któż jest ten pan d'Armangis? Poddał mnie najsurowszej indagacyi jakby jakiego przestępcę... Nie! to być nie może! musiano mi mylnie wskazać jego stanowisko społeczne... zapewnie był prokuratorem królewskim, cesarskim lub rzeczypospolitej... bo nie wiem już jak nazwać... Urzęda zmieniają teraz nazwy jak ulica 2 grudnia którą przezwano ulicą 4 września, a może znów niezadługo...

— Gdy się pani dowie kto jest pan d'Armangis, rzekła drżąca i pomieszana pani de Villeneuve, sama przerazisz się niewymownie żeś mu to powiedziała.

— O! nieba! któż on jest! zawołała przestraszona.

— Jestto ojciec trzeciej żony pana Henryka Smirt.

— Ach! zawołała rzeczywiście przerażona margrabina.

VI.

Młoda chora.

Wybiegłszy z teatru jak szalony, pan d'Armangis rzucił się do pierwszego spotkanego fiakra.

— Gdzie mam jechać? zapytał woźnica.

— Do Biarritz, odrzekł prędko, odpowiadając raczej na własną myśl niż na zapytanie woźnicy, prawie nie wiedząc co mówi.

— Biarritz? powtórzył woźnica, nie znam takiej ulicy.

— Ach! tak... sam nie wiem co mówię... Jedź do dworca Południowego... wszak wiesz gdzie?

— Jakżebym tego nie wiedział... ale byłoby coś niezwykłego jeźliby jaki pociąg odchodził teraz wśród nocy.

— A! masz słuszność... Muszę czekać do rana.

— I wskazał woźnicy swój adres; ten popędził konie, mówiąc sobie:

— Dziwna rzecz!.. ten jakiś pan wyraźnie ma zajączki w głowie!.. nie jeden z tych których odwoziłem do domu obłąkanych, jakoś rozumniej wyglądał.

Jadąc pan d'Armangis chciał namyśléć się co ma czynić—daremnie—nie mógł zebrać myśli. Gwałtowny i egzaltowany, w takiej chwili nie był w stanie zapanować od razu nad miotającem nim wzburzeniem. Czuł w głowie niewypowiedziany chaos; myśli jego plątały się jak przestraszone ptaki, probujące rozbić swą klatkę.

„Rozważmy spokojnie, mówił sobie, czy ta potworna historya może być prawdziwą?.. Czy podobna abym wydał za truciciela moją jedyną, ubóstwianą córkę, mój świat, moje wszystko?.. I niecny ten zbrodniarz mógłby lada chwila pozbyć się jej jak dwóch pierwszych żon swoich!..

O! pojadę tam... będę go badać!.. zmuszę do wytłomaczenia się... a jeźli przekonam się że jest winnym... o! wtedy bez litości zaskarżę go... wtrącę do więzienia, uwolnię moje biedne dziecię od tego nędznika!

— Co takiego? zapytał woźnica, który odwrócił się usłyszawszy ostatnie słowa.

— Nic... nic... odrzekł pan d'Armangis, jedź prędzej.

Wszedłszy do mieszkania, nieszczęśliwy ojciec ochłonął nieco i wyrzucał sobie nawet straszne swoje podejrzenia.

„Zawiniłem, mówił sobie.. czyż należy przywiązywać wiarę do słów pierwszej lepszej złośliwej plotkarki, która jadowitym swoim językiem zatruwa cześć i dobrą sławę ludzką. Wszakże obmawiała i krytykowała w teatrze wszystkich kogo tylko znała choć z widzenia?.. A i co do mnie, jakże złośliwe czyniła przypuszczenia... wszak spotwarzyła nawet ten niewinny bukiet bzu, który kupiłem dla córki!.. A potem całe to jej opowiadanie o zatrutych cukierkach i kwiatach, zakrawa jakoś na bajkę „Tysiąca i jednej nocy" wymyśloną dla rozrywki salonowej gawiedzi... Lecz jeźli jest w tem coś prawdy?... Jeźli tylko owo zatruwanie kwiatów jest wymysłem margrabiny, a natomiast zadawał on truciznę w pokarmach?.. Wszak nie jednokrotnie były przykłady otrucia powolną trucizną, nie budzącą podejrzeń?..

A! zawołał chwytając się rękami za głowę, nie wiem co mam myśléć i w co uwierzyć... Chyba nie podobna rzucać na kogoś tak straszne oskarżenie, bez zastanowienia i głębszego zbadania czynionych zarzutów?.. Teraz jednak nic mi nie pozostaje jak niezwłocznie jechać do Biarritz, pod jakimbądź pozorem zabrać córkę a następnie zbadać gruntownie wszystkie szczegóły, aby wiedziéć co myśléć i co czynić należy.

Nazajutrz obudził się nieco spokojniejszy. Rozważając wszystko z zimniejszą krwią, doszedł do wniosku że cała opowieść margrabiny jest najzupełniej nieprawdopodobną, i całe oburzenie i gniew jego przeciwko niej się zwróciły.

Mimo to przecież postanowił najpierwszym pociągiem jechać do Biarritz, a przedtem jeszcze udać się do pani de Villeneuve, aby prosić o zachowanie w tajemnicy strasznej tej historyi i dowiedzenia się jak najwięcej szczegółów o Henryku Smirt.

Pani de Villeneuve nie wiedziała nic więcej nad to co mu powiedziała przed ślubem Amediny, to jest że Henryk Smirt używał pod każdym względem jak najlepszej opinii.

— Ale powiedz mi pani gdzie się znajdują rodziny dwóch pierwszych żon jego, udam się do nich o objaśnienienia, dowiem się co myślą o tem strasznem oskarżenia.

— Pierwsza żona jego była sierotą, a druga Amerykanką, nie wiem nawet z jakiej kolonii, odpowiedziała pani de Villeneuve. Rodzina jej bawiła tu tylko czasowo i powróciła do kraju, niepodobna więc jakichkolwiek od nich zasięgnąć objaśnień. Margrabina jest nieznośną plotkarką, i nie należy żadnej przywiązywać wagi do wygłaszanych przez nią historyj — to pewna że przestanę ją przyjmować.

Pożegnawszy panią de Villeneuve, pan d'Armangis śpiesznie powrócił do domu, i zabrawszy podróżny kuferek wyszedł z zamiarem udania się niezwłocznie na dworzec kolei Południowej, a z tamtąd do Biarritz, gdzie bawiła jego córka.

W bramie zetknął się z biegnącą prędko bladą i przerażoną kobietą:

— Ach! to ty, Marynko, w samą porę cię spotykam, zawołał, sam za nadto niespokojny, aby mógł dostrzedz przerażenie biednej sługi.

Marynka drżała jak liść — łzy i gniew zarazem błyszczały w jej oczach. Koszyk z prowiantami podskakiwał w trzęsących się rękach.

— Właśnie przed chwilą pytałem się o ciebie, mówił pan d'Armangis; zostawiam dom pod twoją opieką — gdyż wyjeżdżam do Biarritz.

Niepodobna! nie wyjedziesz pan! zawołała.

— Jakto nie pojadę?.. któż mi zabroni? zapytał zdziwiony.

— Ja!.

— Marynko, odrzekł surowo, ze względu twojej dawnej i wiernej służby, pozwalam ci bardzo wiele, nigdy jednak nie pozwolę narzucać mi swej woli i sprzeciwiać się mojej; powiedziałem ci że wyjeżdżam...

— A ja mówię że nie może pan wyjeżdżać do Bairritz, skoro córka jego jest w Paryżu śmiertelnie chora! zawołała łkając.

Z piersi nieszczęśliwego ojca wydarł się krzyk rozpaczliwy:

— Moja córka jest w Paryżu!.. śmiertelnie chora!.. i ja nic o tem nie wiem!.. jakże się to stać mogło?.. odpowiadajże!..

— Kiedy nie daje mi pan mowić... Oto jak było Tylko co spotkałam na targu Katarzynę, kucharkę naszej ukochanej Amedinki... Otóż powiedziała mi że pani jej powróciła od tygodnia; już z Biarritz

wyjeżdżała bardzo cierpiąca, przyjechawszy zaraz musiała się położyć i od tygodnia nie opuszcza łóżka... Katarzyna mówiła że litość bierze patrzeć na nią... Katarzyna kupowała różne przysmaczki dla pięknego pańskiego zięcia, gdyż nigdy nie miał tak dobrego apetytu, jak od chwili gdy żona nic w usta wziąść nie może. O panie! bardzo to brzydko z jego strony!

— O! moje biedne, nieszczęśliwe dziecię! krzyknął pan d'Armangis, w którego duszy zbudziły się stokroć spotęgowane, straszne, zaledwie nieco ukojone obawy... I nie zawiadomiono mnie, tak ubóstwiającego ją ojca!.. a to rzecz nie słychana! Biegnę do niej!.. przeniesiemy ją tu i będziemy pielęgnować jak najtroskliwiej.

— Niepodobna, odrzekła Marynka, podobno biena Amedinka jest tak słaba iż nie wytrzymałaby przeniesienia.

— Wielki Boże! krzyknął nieszczęśliwy ojciec; a więc chodź ze mną, Marynko, nie odstąpimy jej łóżka, i — jeźli czas jeszcze — uratujemy moje jedyne, ukochane dziecię. Pamiętaj tylko iż zalecam ci najsurowiej, abyś nie tylko sama wyłącznie przyrządzała przepisane jej napoje i wszystko co mapoprzynieść do ust, ale sama jej podawała. Tak lekarstwa jak pożywienie tylko z mojej lub twojej ręki przyjmować będzie.

— O! może pan być o to spokojny, rozumiem dobrze iż najgorsze lekarstwo wyda jej się dobrem, skoro ktoś kochany i kochający podawać je będzie. Tak więc tylko ja, pan i mąż...

— On!... on!.. krzyknął pan d'Armangis i sina bladość twarz jego pokryła — on!.. nigdy! nigdy!.. czy słyszysz?

— O! nieba! krzyknęła blednąc z przerażenia bladością pana, więc kryje się w tem jakaś tajemnica, jakaś straszna intryga!.. O! miałam więc słuszność chcąc aby to ukochane dziewczę nie oddawała ręki temu pięknemu paniczowi... Nie umiem powiedzieć dla czego, ale zawsze robił mi wrażenie diabła, który wyskoczywszy z piekła przybrał piękną powierzchowność, pomimo której przecież czuć było od niego spaleniznę.

— Nie waż się mówić nic podobnego! zawołał pan d'Armangis, który miał czas ochłonąć i opzytomnieć — źle zrozumiałaś moje słowa.

— A więc z jakiego powodu zbladłeś pan jak chusta gdy wspomniałam o nim, i dlaczego nie chcesz aby doglądał swojej chorej żony?

— Ponieważ... ponieważ zdaje mu się że jest dobrym doktorem, a ja nie wierzę w jego umiejętność medyczną. Zaufany w sobie, będzie się sprzeciwiał przepisanej przez doktora kuracyi zapragnie może sam zapisywać lekarstwa... Biegnę więc natychmiast do mojej ukochanej córki i na krok jej nie odstąpię, i ty także przyjdź tam jak najprędzej.

— Przyjdę natychmiast; bąć pan spokojny, wyleczemy ją. Wszak pamięta pan że dwa razy już ja i nieboszczka pani wyratowałyśmy ją z krupu i z odry. Wprawdzie było to za łaską i pomocą Bożą, ale On i teraz nas nie opuści.

Pan d'Armangis pośpieszył do córki, i zaraz wszedłszy do mieszkania spotkał się ze swym tajemniczym zięciem.

Na widok tego człowieka o którym tak straszne opowiedziano mu rzeczy, zimny dreszcz przebiegł go od stóp do głowy, i rzekł drgającym od gniewu głosem:

— Jesteś pan w Paryżu od ośmiu dni, córka moja jest niebezpiecznie chora, a ja nic o tem nie wiem!.. nie raczyłeś zawiadomić mnie ani o waszym powrocie ani o jej chorobie... jak usprawiedliwi pan podobne postępowanie?

— Bardzo łatwo, odrzekł spokojnie Henryk Śmirt. Amedina nie dozwoliła mi zawiadomić pana, pragnąc zrobić mu miłą niespodziankę przyspieszonym powrotem; na nieszczęście w sam dzień przyjazdu zasłabła tak mocno, że musiała się położyć. Sądziła że to tylko jakieś chwilowe osłabienie, nie chcąc więc niepokoić pana, prosiła mnie abym mu nie dawał znać aż będzie się czuć zdrowszą; że jednak stan jej zdrowia nagle bardzo się pogorszył, więc właśnie miałem wyjść zawiadomić pana.

— Tak!.. zawołał pan d'Armangis, i bacznie wpatrując się w niego dodał: ale, na miłość Boską! co jej jest?

— Zapalenie płuc, odrzekł Henryk.

— Czy pewny pan tego jesteś? zapytał pan d'Armangis, pragnący przejąć go wzrokiem aż do głębi duszy.

— Tak mi się zdaje.

— I mówisz pan że choroba jest groźna?

— Lękam się tego, odpowiedział zimno i spokojnie, z tak lodowatą obojętnością, że nieszczęśliwy ojciec zadrżał przerażony.

Zostawiając Henryka, pobiegł do łoża chorej córki.

VII

Analiza chemiczna.

Biedna Amedina nadzwyczaj była zmieniona. Oczy jej zapadły, drobna twarzyczka stała się przezroczysto-bladą; zeszczuplała tak że zaledwie cień jej pozostał. Zaledwie tyle zajmowała miejsca w łóżku co ptaszyna w gniazdku.

— Kto wszedł? zapytała, zwracając ku drzwiom omdlałe spojrzenie, które zabłysło radością na widok ukochanego ojca.

— Biedne moje dziecię! zawołał pan d'Armangis całując ją, jesteś chora a ja nic o tem nie wiedziałem!.. Czy to prawda że nie pozwoliłaś mnie zawiadomić?

— Tak, drogi ojcze, bo nie chciałam cię zmartwić. Spodziewając się że prędko odzyskam siły, cieszyłam się myślą że wpadając do ciebie bez zawiadomienia, miłą ci zrobię niespodziankę. Henryk chciał zaraz iść do ciebie, lecz gdym mu dała poznać mój zamiar, zgodził się na niego. Ale na nieszczęście, niespodzianka mi się nie udała, czuję się gorzej, i zamiast ja do ciebie, ty ojczulku musiałeś przyjść do mnie.

Powiedział prawdę, pomyślał sobie pan d'Armangis, to Amedina nie chciała żeby mnie zawiadomić; a i ten ciężki kaszel rozdzierający mi serce, zdaje się jest symptomatem zapalenia płuc... A potem wszakże jedyną podstawą moich podejrzeń są plotki rozsiewane przez tę złośliwą kobietę... Boże mój, Boże! co mam myśléć, czemu wierzyć?...

Biedak siedział przy łożu chorej córki a straszna niepewność szarpała mu serce. Duszą jego miotała nieustannie wątpliwość przywołująca ciągle myśl przed chwilą odegnaną, mierząca argumenta wagą przechylającą się to na tę to na ową stronę, męcząc umysł tem nieustającem wahaniem i nie mogąc dojść do równowagi.

Nie spuszczał z oka Henryka, śledząc bacznie każdy krok, każde jego poruszenie; wpatrywał się w twarz jego szukając jakiegoś śladu, jakiegoś przelotnego błysku zdradzającego zbrodniarza — daremnie — był spokojny i nieprzenikniony.

— Cóż mówi doktór? zapytał pan d'Armangis.

— Doktór! powtórzył, zapominasz, kochany teściu, że zamierzając zostać doktorem uczyłem się medycyny — nie potrzebuję więc przyzywać innych doktorów, i sam leczę moją żonę.

— Nie wezwałeś pan doktora! zawołał przerażony pan d'Armangis, gdyż już to samo zdawało mu się dostatecznym dowodem zbrodni—i sądzisz pan że pozwolę na to abyś sam leczył moją córkę, na tej zasadzie że kiedyś uczyłeś się początków medycyny, którą zaniedbałeś następnie... O nic z tego! nigdy na to nie pozwolę!

— Ojczulku drogi, ja nie chcę innego doktora, rzekła Amedina, ja tak kocham Henryka, a on pielęgnuje mnie tak troskliwie iż jestem pewna że mnie uleczy.

— Nieszczęsne dziecię! zawołał pan d'Armangis, a Henryk orzucił go zadziwionem i gniewnem zarazem spojrzeniem ,jakby zapytując co ma znaczyć ten wykrzyknik.

W tejże chwili w przyległym pokoju dały się słyszeć jakieś kroki i rozmowa.

— To głos Marynki! zawołała Amedina.

— Tak, moje dziecię, rzekł pan d'Armangis, kazałem jej przyjść aby mi dopomagała doglądać ciebie, bo odtąd ani na krok cię nie odstąpię.

Mówiąc to patrzył w oczy swego nieprzeniknionego zięcia, z takim wyrazem twarzy jakby słowa jego zawierały w sobie groźbę — Henryk pozostał spokojny i niewzruszony. Nie, on nie był człowiekiem ale sfinxem.

— Jakiś ty dobry, kochany ojcze! rzekła Amedina; będę więc miéć obok siebie moich ukochanych, ciebie, Henryka i poczciwą Marynkę którą także kocham... Każ jej tu wejść, ojczulku.

— Zaraz, moje dziecię, odrzekł pan d'Armangis, tylko pierwej każę iść po doktora.

I prędko wybiegł z pokoju.

— Zdaje mi się że nikt prócz mnie nie ma prawa wydawać rozkazów w moim domu, mruknął Henryk.

Tymczasem obecna w drugim pokoju Marynka, rozprawiała z panną służącą.

— Tak, tak mówiła ze zwykłą pewnością siebie, pozostaniemy tu dopokąd nasza paniunia nie wyzdrowieje... A ty panno strojnisiu — gdyż jesteś wystrojona jak jaka pani — pościelesz dla pana d'Armangis w pokoju przyległym do sypialni Amedinki, ja postanę przy niej i całe noce czuwać będę, a nie zasnę choćby mi przyszło wytrzyszczać oczy jak księżyc... O! bo jestem silna, nie taka wątła jak panna!.. Jeźlibym się już bardzo zmęczyła, to w dzień porzucę się trochę na kanapie lub w fotelu. No! prędzej, pokaż mi panna ziółka czy napój jaki dla pani przygotować trzeba, ja sama się tem zajmę i odtąd nawet przysunąć się nikomu nie pozwolę.

— Doprawdy, więc to jejmość Marynka zamyśla się tu rozgospodarować i nam przewodzić, odparła przedrwiwając rozgniewana panna służąca; najlepiej wracaj do domu i nie mięszaj się do nas.

— I zaraz! miałabym zostawić moją panulkę bez nadzoru, boć przecie panna nie wyglądasz bynajmniej na dozorczynię chorych; zajęta fryzowaniem swego tupetu, nie masz czasu zajmować się chorą panią... A potem nie kochasz jej jak jak... nie nosiłaś jej na ręku gdy jeszcze była w pieluszkach.

— A! do tego się nie przyznaję! odpowiedziała rozśmieszona panna służąca, jestem w jednym wieku z panią.

— Nie kochasz jej panna tak ja kochać umiem, jakbym więcej własnej córki kochać nie mogła... nie umiałabyś dobrze jej dojrzeć i posłużyć... wi-

dzisz, kochanko, podając jej napój, nie dość jest pamiętać go osłodzić, trzeba jeszcze własne włożyć serce... Wszak prawda, panie? dodała, widząc wchodzącego pana d'Armangis — wszak pan kazałeś mi przyjść tu i nie odstępować naszej ukochanej chorej?

— Tak jest, odrzekł, i wyłącznie twojej powierzam ją opiece.

— A co! czyż nie mówiłam! zawołała Marynka z trumfującą miną.

— Nie trać czasu na rozprawianie, Marynko, rzekł pan d'Armangis; biegnij prędko do mego doktora, i proś żeby tu przyszedł natychmiast... Wszak wiesz gdzie mieszka?

— A jakże mogłabym nie wiedzieć kiedy od dwudziestu lat służę u pana — wiem dobrze gdzie mieszkają wszyscy pana znajomi i przyjaciele... ale chciałabym pierwej zobaczyć i uściskać naszą Dinkę.

— Jak powrócisz—najpilniejsza rzecz sprowadzić doktora.

Marynka pobiegła natychmiast, a pan d'Armangis powrócił do pokoju córki.

Zaledwie próg przestąpiwszy wydał krzyk przerażenia. Henryk stał przy łóżku żony i podawał jej napój jakiś w filiżance. Była to rzecz bardzo naturalna — ale nieszczęsny ojciec nieustannie miał teraz na myśli owo oskarżenie zięcia o otrucie dwóch pierwszych żon.

— A!... wstrzymaj się nieszczęsny! krzyknął przyskakując do łóżka.

— Co to ma znaczyć? zapytał Henryk patrząc z zadziwieniem na teścia.

Amedina wziąwszy z rąk męża filiżankę niosła ją do ust, pan d'Armangis wyrwał ją z jej rąk.

— Ach! ojcze, zawołała jak możesz wzbraniać mi pić!.. mam ogromne pragnienie, ogień pali mnie w ustach i w gardle... Henryk pojmuje jaka to wielka męczarnia, ma też litość nademną i ilekroć żądam, podaje mi napój.

— On! on! zawsze podaje ci napój i lekarstwa!..

— Tak, prawie zawsze, taki jest dobry i troskliwy o mnie.

Pan d'Armangis uczuł się jakby piorunem rażony; troskliwość i opieka tego człowieka rozciągnięta nad żoną o której chorobie mówił tak zimno i obojętnie, wydały mu się nader podejrzane i wielkie budziły przerażenie. Powątpiewanie zmieniło się w pewność — wierzył teraz że ten niegodziwiec zadaje biednej Amedinie powolną truciznę. Sercem nieszczęśliwego ojca miotała straszna obawa czy nie za późno przybył, czy będzie można jeszcze antidotem jakimś zniweczyć działanie trucizny, i uratować ukochaną córkę.

— Czy nie raczy pan powiedzić mi co znaczy ta przerażona mina, w obec rzeczy tak prostej jak podanie orzeźwiającego napoju? zapytał Henryk Smirt.

Pan d'Armangis wzburzony i przerażony, o mało nie nazwał zięcia nędznikiem i trucicielem, jednak opzytomniawszy, zadrżał na samą myśl jak bardzo musiałoby zaszkodzić Amedinie podobne oskarżenie, rzucone w twarz mężowi którego tak kochała; zapanowawszy więc nad sobą, wyjąkał:

— Chciałem powiedzieć że należy zaczekać na przybycie doktora w którym nieograniczone pokładam zaufanie, gdyż być może iż przepisze on całkiem przeciwne środki.

Nadszedł nareszcie ów doktór oczekiwany z tak gorączkową niecierpliwością; pan d'Armangis powitał go jak zbawcę, i przysuwając fotel do łóżka Amediny, szepnął mu do ucha:

— Doktorze, zbadaj bacznie chorobę i jej symptomata.

Podczas gdy doktór oskultował chorą, pan d'Armangis zbliżył się do kominka na którym postawił pełną jeszcze filiżankę którą Henryk podawał żonie, mówiąc sobie:

— A! dowiem się nareszcie prawdy! pozyskam niezaprzeczony dowód.

Henryk i doktór stali przy łóżku chorej odwróceni do niego plecami; drżącą ręką pochwycił filiżankę, przelał zawarty w niej napój w stojącą obok próżną flaszeczkę, i zatkawszy schował do kieszeni.

Doktór troskliwie egzaminował chorą, oskultował, liczył uderzenia pulsu, starannie i umiejętnie badał symptomata choroby! Jakkolwiek nadzwyczaj grzecznie i delikatnie, zganił jednak środki zastosowane przez Henryka, co przecież niczegoby jeszcze nie dowodziło, gdyż wielu lekarzy ma zwyczaj przyganiać zawsze kolegom, a zresztą, wszak wiadome że gdzie Hippokrates mówi *tak*, Gallen powie *nie* ale Henryk, podrażniony już wyż opisanem zajściem, bardzo źle przyjął uwagi doktora, i nie czekając końca jego wizyty, wyszedł zamówiwszy się jakimś nader pilnym interesem.

— Doktorze, ja bardzo cierpię, rzekła słabym głosem Amedina... Czy choroba ta długo potrwa?.. czy prędko będę mogła wstać?

Bolesna chmurka przesunęła się po czole doktora, otrząsnął się jednak i odrzekł swobodnie:

— Kilka dni cierpliwości, kochane dziecię, a pomyślemy o tem.

Pożegnawszy chorą, wyszedł z panem d'Armangis.

Marynka, która wróciwszy od doktora zajęła stanowisko dozorczyni chorej, usiadła przy jej łóżku.

Zaledwie doktór i pan d'Armangis przestąpili próg pokoju chorej, w twarzach ich widoczna zaszła zmiana. Doktór spoważniał, a pan d'Armangis zapytał z niewysłowionym niepokojem:

— I cóż doktorze?

— Źle, odpowiedział, zapóźno zostałem przyzwany... choroba silnie się rozwinęła.

— Nie ma nadziei! zawołał nieszczęśliwy ojciec, i twarz jego martwą pokryła się bladością.

— Nie poddawaj się rozpaczy, rzekł doktór mocno wzruszony boleścią jego; w tak młodym wieku tyle jest jeszcze zasobów sił...jednak...

— Jednak cud chyba zdołałby ją uratować! wszak to chciałeś powiedzieć zawołał pan d'Armangis głośnem zanosząc się łkaniem... A! nędznik! zbrodniarz!.. zawołał z wściekłością.

— O kim mówisz? Co chcesz powiedzieć? zapytał zdumiony doktór.

— Kochany doktorze, odrzekł ponurym głosem pan d'Armangis, wyjmując flaszeczkę z kieszeni, czy zechcesz oddać mi wielką, nieocenioną przysługę?

— Najchętniej, o cóż chodzi?

— Każ natychmiast, nie tracąc chwili czasu, zrobić rozbiór chemiczny płynu zawartego w tej flaszeczce.

— Ale w jakimże celu?.. zawołał doktór, cóż jest w tej flaszeczce?

— Na pozór niewinne jakieś ziółka... ale do których najpewniej domięszano...

— Cóż takiego?.. mówże!

— Truciznę!

Doktór krzyknął mimowolnie i spojrzał na niego z osłupieniem; pan d'Armangis był śmiertelnie blady, w twarzy widniała bezgraniczna rozpacz, w oczach straszny obłęd.

— Co tobie, przyjacielu, zapytał, czyś rozum stracił?

— Nie! nie! jestem zupełnie przytomny... ale zdaje mi się że odgadłem przyczynę tej strasznej choroby... Biedne moje dziecię nie raz już piła napój podawany jej przez niegodziwca którego mam w podejrzeniu... Nieszczęściem wtedy nie byłem jak dziś przy jej łożu, aby ją ratować — i zapewnie zbrodni przypisać należy tak nagły rozwój choroby... zadawano jej powolną truciznę.

— Ależ poznałbym to przecie! zawołał doktór, nie dostrzegam tu żadnych symptomatów trucizny.

— Doktorze, sam tylko Bóg nigdy się nie myli... Śpiesz się, śpiesz na miłość Boską! jeźli odkryjemy ten straszny powód jej choroby, może uda się jeszcze uratować moje biedne dziecię!..

— Ale kogoż posądzasz o tak potworną zbrodnię?

— Kogo posądzam, dowiesz się gdy mnie zawiadomisz o rezultacie analizy—wtedy nie zawaham się wyjawić zbrodniarza... Nie wolno mieć litości dla podobnych potworów... Ale zaklinam cię, nie trać ani chwilki czasu; ty, doktorze, powinieneś ją ocalić — ja powinienem straszną wywrzeć zemstę... ale dowodów!.. dowodów!..

— Spuść się na mnie; wrócę za godzinę, rzekł doktór biorąc flaszeczkę, i wybiegł prędko z pokoju, równie prawie drżący i przerażony jak pan d'Armangis.

Po jego wyjściu pan d'Armangis rzucił się na fotel i z jakąś dziką radością oddał się wybuchowi rozpaczy; był sam, nikt na niego nie patrzył, nie potrzebował się przymuszać, mógł przecie zapłakać swobodnie.

Trzeba jednak było wrócić do pokoju córki; siłą woli przybrał spokojną minę, i poczekawszy chwilę aby w oczach nie znać było śladu łez wylanych, wszedł na pozór zupełnie spokojny i swobodny.

— Tak długo rozmawiałeś z doktorem, kochany ojcze; zapewnie powiedział ci że jestem niebezpiecznie chora? zapytała Amedina, wlepiając w ojca badawcze, niespokojne spojrzenie.

— Oj! ty rozpieszczone dziecko, odrzekł pan d'Armangis, skądże ci podobna myśl przyszła do głowy?.. doktór zaleca ci tylko abyś była spokojna, spełniała co ci poleci i dozwoliła troskliwie się doglądać, wtedy...

— Wtedy, przerwała i oczy jej zabłysły radością, wtedy niedługo wstanę i przywdzieję piękny negliż z białego kaszmiru.

— Najpiękniejszy jaki być może; jutro zaraz zamówię go w najpierwszym magazynie, odrzekł z uśmiechem.

Biedny, w obec córki musiał zmuszać się do uśmiechu, choć łzy go dławiły, serce pękało z bólu. Czuł jak łzy gorzkie i palące zbierały się i podnosiły coraz wyżej i tylko co miały dopłynąć do oczu, ale niezłomna jego wola rzekła im stanowczo: „nie dosięgniecie dalej" i musiały się zatrzymać, i uśmiech z ust nie schodził.

(*D. c. n.*)

Opis do N-ru 16.

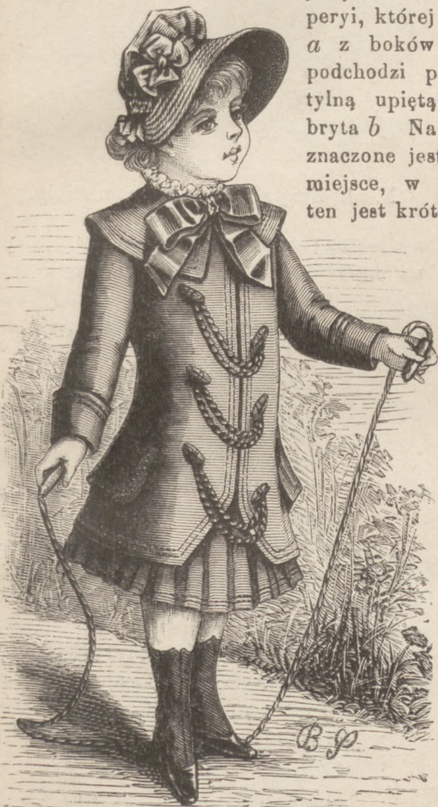
(Dokończenie.)



N. 2. Torsadka słomkowa do kapeluszy letnich.

N. 44, 6, 14 i 40. Suknia z draperyą upiętą odmiennie z boków.

Dla łatwiejszego zrozumienia układu draperyi, podajemy aż trzy ryc. spódnicy, którą ryc. 14 przedstawia z tyłu i z jednego boku, ryc. 6 z drugiego boku, a ryc. 44 z przodu. Szeroki wolant przy spódnicy może być drobno lub w szerokie fałdy splisowany, a u dołu oszyty samą plisą aksamitną, lub z dodaniem w górze gładkiej, 8 c. szorokiej koronki. Na ryc. 40 dajemy model i miary draperyi, której bryt przedni *a* z boków sfałdowany, podchodzi pod draperyę tylną upiętą z prostego bryta *b* Na brycie *a* oznaczone jest krzyżykami miejsce, w którem bryt ten jest krótko z jednego boku sfałdowany i jak to widzimy na r. 6, przepięty agrafą metalową, podłożoną aksamitem; plisowanie na spódnicy z tej strony musi dochodzić aż do góry. Upięcie tylnego bryta wskazane jest dokładnie na ryc. 14. Przy staniku zapinanym z boku na dwa rzędy guzików, spodnią połowę przodu kraje się odpowiednio szeroko, a do zwierzchniej przyszywa się część oddzielną, której ranwers pokryty jest aksamitem. Do pleców dodaje się bufowaną baskinę; dół stanika, mankiety i kołnierzyk stojący, zapięty na agrafę metalową, zdobi obłożenie aksamitne. Model sukni odrobiony był z blado zielonego „voille Virginie" a ubrany ciemno zielonym aksamitem.



N. 4. Ubranie spacerowe dla małej dziewczynki. Patrz r. 31 w N. 16.



N. 1. Suknia z bluzkowym stanikiem.



N. 3. Torsadka słomkowa do kapeluszy letnich.

Opis do N-ru 17.

N. 1. Suknia wizytowa z bluzką.

Odpowiednia dla młodej osoby, może być odrobiona z miękkich wełnianych materyałów jak, kaszmir, beż poult de laine lub z letniego bawełnianego materyału. Kokardy mogą być atłasowe lub z najmodniejszej aksamitki na atłasowym spodzie. Stanik bluzkowy ma przody ułożone w płaskie kontrafałdy i obcisnięty jest paskiem; spodnica ogarnirowana wolantami układanemi w kontrafałdy lub plisowanemi, ma krótką draperyę nakształt panier.

N. 4 i r. 31 w N. 16. Ubranie spacerowe dla małej dziewczynki.

Krój i wykończenie odpowiednie jest szczególniej do spacerowego ubrania; materyał stanowi cienkie ciemno zielone sukno. Spódniczka 20 cent. długa, 85 cent. szeroka, wszyta w szeroki pasek, prawie całkowicie przysłonięta jest paletotowem stanikiem, którego przody u dołu ścięte są w zęby. Plecy wycięte są w trzy patki po 15 c. długie, po 9 szerokie, po nad któremi przewiązanie z wstążki. Brzegi sukienki są w około stębnowane dwa razy; kołnierz pelerynowy 13 cent. szeroki związany kokardą. Zapięcie dane na kryte haftki i na pentlice szmuklerskie.



N. 6. Suknia z dwojakiego materyału dla młodej panienki.



N. 8. Ubranie spacerowe z obcisłem paletocikiem. Patrz ryc. 3 w N-rze 16.

N. 9. Płaszczyk wiosenny. Patrz ryc. 7 i 42 w N-rze 16.

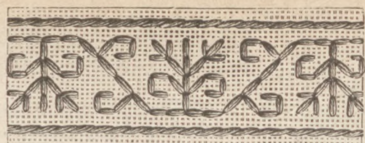


N. 5. Ubranie spacerowe z paletocikiem dla małej dziewczynki.

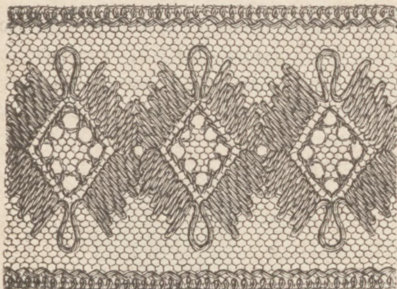
N. 7. Sukienka z falbankami dla młodej panienki.

N. 5. Paletocik z pelerynką, dla dziewczynki.

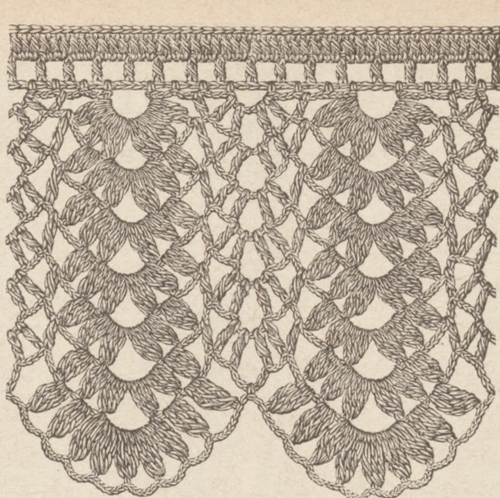
Uszyty z wigoniu w kratę granatową z szafirowym, zapięty jest rzędem okrągłych niebieskich guziczków; przy plecach i boczkach dodany materyał na fałdy założone pod spód. Brzegi paletota, pelerynki i kołnierza wykładanego 6 cent. szerokiego, ozdobione wyszyciem z wązkiej wełnianej pletni.



N. 10. Szlaczek do kołnierzyków, fartuszków i t. p.



N. 13. Wszywka wywodzona na tiulu.



N. 12. Koronka szydełkowa do bielizny.

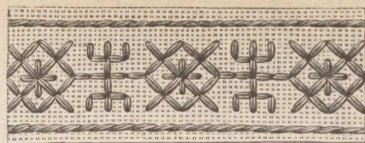
N. 6—7. Ubrania wizytowe dla młodych panienek.

N. 6. Suknia z dwojakiego materyału.

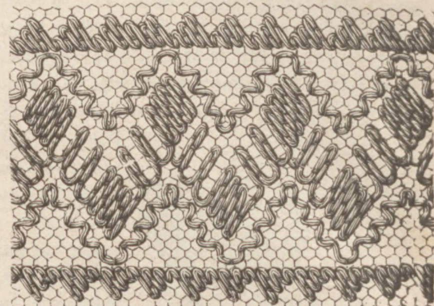
Granatowa materya jedwabna i cienki materyał wełniany w kratę szafirową z ponsowym, użyte są na tę sukienkę, ozdobioną granatową hiszpańską koronką, 5 cent. szeroką. Spódniczka na podszewce perkalowej ułożona o ile widoczna jest z pod draperyi, w kontrafałdy po 6 cent. szerokie, w odstępach dwóch cent. Na panier potrzeba dwóch kawałków po 60 cent. szerokich, 56 długich, przymarszczonych z brzegów bocznych, które u góry składają się w kontrafałdy a u dołu przyszywają szwem odwracanym na spódnicy. Upięcie tylne dane z dwóch brytów po 56 cent. szerokich 200 długich. Stanik krótki bawetowy z przodu, ma z tyłu baskinę fałdowaną. Rękawy i wykrój szyi ogarnirowane koronką.

N. 7. Suknia z falbankami.

Spódniczkę przykrywają skośne falbanki, po 10 cent. szerokie, oszyte wąziutką koroneczną. Stanik z krótkim bawetem z przodu, szyje się na dobrze do figury dopasowanej podszewce i ma przody i plecy pod szyją przemarszczone nakształt 12 cent. szerokiego karczka, drugie przemarszczenie wypada na wcięciu stanu. Plecy przedłużone są na 20 cent., zmarszczone u dołu i zakończone kokardami z wstążki 5 c. szerokiej; od tych kokad przeprowadzone są końce brzegiem stanika do przodu. Za materyał na to ubranie służy blado niebieski voile religieusse.



N. 11. Szlaczek do kołnierzyków, fartuszków i t. p.



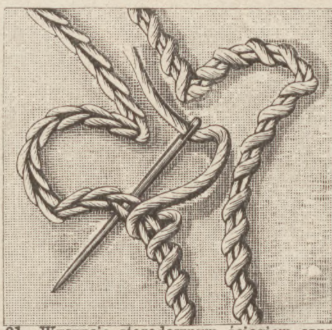
N. 14. Wszywka wywodzona na tiulu.



N. 15. Prześcieradło przewleczone kolorową wstążką.

N. 16. Prześcieradło haftowane w zęby wiązane kolorowemi kokardami.

N. 17. Prześcieradło ze szlakiem wyszytym ściegiem sznureczkowym. Patrz r. 21 i 22.



N. 18. Poszewka z koronką reticella.

N. 9 tudzież r. 7 i 42 w N. 16. Płaszczyk długi wiosenny.

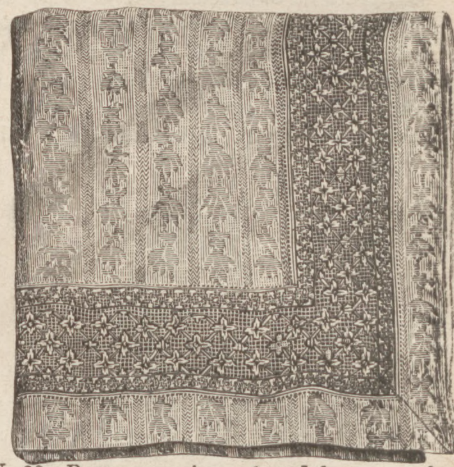
Ryc. 9 w dzisiejszym i r. 7 w N. 16 przedstawiają przód i plecy płaszczyka z ciężkiego czarnego jedwabnego repsu, na jedwabnej podszewce. Na ryc. 42 w N. 16 dajemy wskazanie kroju i wymiar; litera *a* oznacza przód do którego od * do dołu przyszyty jest prosty bryt tylny (*b*) którego brzeg górny ściśle sfałdowany, zachodzi pod przybranie z koronki i wstążki, dane u dołu pleców krajanych w jednym ciągu wraz ze zwierzchnią połową rękawów; spodnią połowę kraje się podług części oznaczonej kropkami; rękawy z przodami łączą się od dwukropka do krzyżyka i na ramionach. Przybranie stanowi 9 cent. szeroka hiszpańska koronka, pasmanterya i frendzla sznelowa 11 c. szeroka, kokardy z wstążki repsowej, 8 c. szerokiej.

N 24—26. Parasoliki.

Przedstawiamy modele parasolików formą en-tcut-cas, pokrytych kosztowną materyą. Ryc. 24 wskazuje parasolik pokryty atłasową materyą z brzegów gładką w środku w drobną kratkę, z lewej zaś strony w paski czarne z białym; pręciki są złocone a czarno polturowana rączka przewiązana jest kokardą z wstążki w dwóch kolorach. Drugi model r. 25 pokryty bronzowym atłasem na podszewce blado niebieskiej; pręciki złocone; gładka laska z bronzowo



N. 19. Poszwa na pierzynkę zdobna haftem madera.

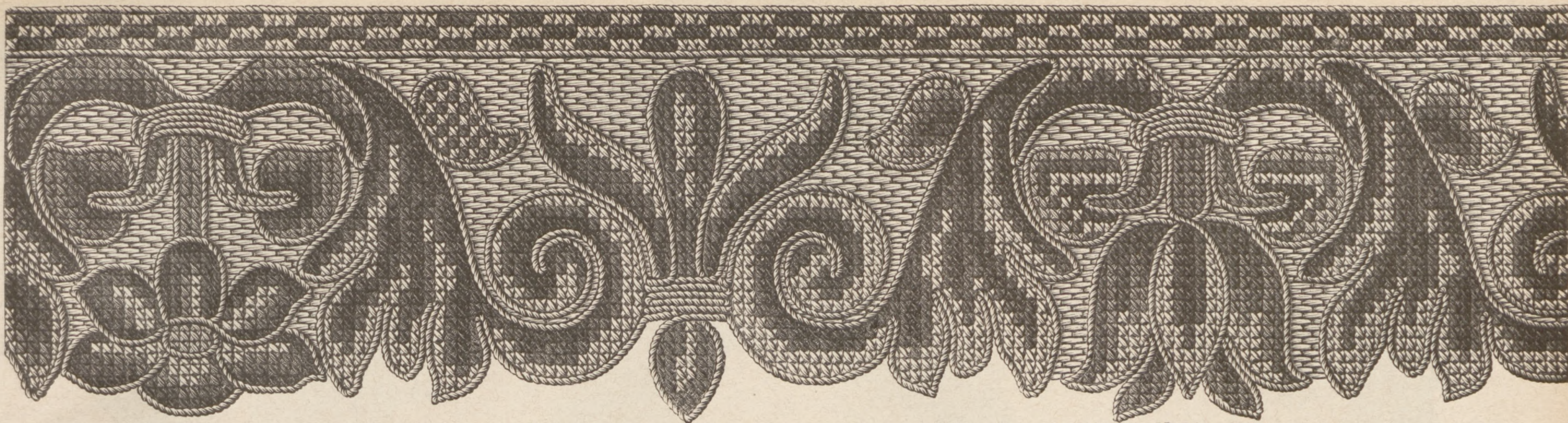


N. 20. Poszwa na pierzynkę zdobna wszywką siatkową.

N. 21. Wyszycie starodawnym ściegiem sznureczkowym, do ryc. 17 i 22.



N. 22. Szlak ściegiem starodawnym sznureczkowym do r. 17. Wykonanie w powiększeniu, patrz r. 21.

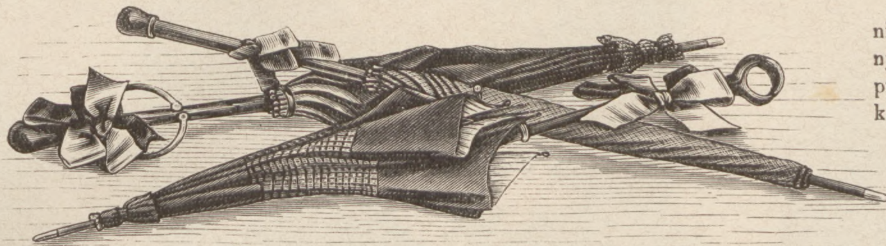


N. 23. Lambrekina. Robota krzyżowa z konturami wyszytemi sznureczkiem. Patrz r. 16 i 17 w N. 16.

politurowanego drzewa ma dodane duże kółko mosiężne, przewiązane wstążką bronzową z niebieską; na czubku dana riusza z bronzowej koronki. Trzeci parasolik z gładką czarną rączką pokrytr jest kiprowaną materyę w krateczkę piaskową z niebieskiem.

N. 27 i 35. Kapelusz słomkowy z alzacką kokardą.

Kapotka z bronzowej brukselskiej słomki, z roondkiem wysoko odstającem nad czołem, oszytem 2 cent. szeroką torsadką, w środku 9 cent. szerokim, przybrana jest z przodu dyjademem z cieniowanych aksamitnych i atłasowych liści złotego i bronzowego koloru. Podgarnirowanie rondka stanowi 8 c. szeroka ciemniejsza i 4 c. szeroka jasno bronzowa bufa aksamitna. Główka z tyłu 7, z przodu 5 c. wysoka, przysłonięta aksamitną kokardą podszytą atłasem; z boków przewleczone są końce po 85 c. długie; z tyłu dane dwa aksamitne przepięcia po 8 cent. długie.



N. 24—26. Parasoliki.



N. 29. Poduszka do kanapy. Haft szenelą. Patrz r. 30.



N. 27. Kapotka słomkowa z alzacką kokardą. Patrz r. 35.

N. 28 i 34. Kapelusz zdobny kokardami.

Wysoko z przodu odstające rondko małej kapotki z angielskiej słomki, podpięte jest czterema kokardami z wstążki, przyszytemi do paska sztywnego tiulu, oszytego marszczonym aksamitem, 6 cent. szerokiego. Każda rozeta liczy cztery pukle po 6 c. długie, złączone węzłem, układane naprzemian z blado i ciemno różowej repsowej wstążki i z oliwkowej i bronzowej aksamitki. Zwierzchnie przybranie stanowi girlandka z drobnych, cieniowanych różanych listków, żółtawo zielonych, przypięta z boku kokardą z aksamitki oliwkowej i bronzowej. Końce do wiązania bronzowe aksamitne są po 70 cent. długie a 6 szerokie.



N. 31. Ząbki szydełkowe.

N. 29—30 i ryc. 15 w N. 16. Poduszka do kanapy. Haft szenelą.

Dwa zupełnie odmienne rodzaje haftu, zastosowane są do przyozdobienia poduszki: środek zajmuje haft szenelą na tle jedwabnem szlak zaś wyszyty jest na płótnie gazowem i złączony z tłem za pomocą 2 c. szerokiego aksamitnego paska, oszytego złotą kororeczką. Ryc. 30 przedstawia w naturalnej wielkości część haftu na tle środkowem 30 c. szerokiem, 25 długiem, danem z jedwabnego repsu herbaciano zielonego koloru. Haft ze szneli kolorowej obwodzonej nitką złotą wykonywa się podług wzoru ryc. 15 w N. 16. Brzegi wykończonej poduszki otacza 4 cent. szeroka frendzla.



N. 28. Kapotka słomkowa z kolorowemi kokardami. Patrz r. 34.

N. 36 Kapelusz zdobny piórami.

Dyjademowo odwinięte rondko ma w środku z przodu 12 c. szerokości a z tyłu zwęża się do 3 cent. i podszyte jest ciemno bronzowym aksamitem. Zwierzchnie przybranie ułożone z dwóch skośnych kawałków repsowej materyi (ottoman) po 30 c. długich przepiętych dwo-



N. 32. Ząbki szydełkowe.



N. 30. Część haftu szenelowego do r. 29. Patrz r. 15 w N. 16

ma stalowemi klamrami; do przodu dane długie cieniowane strusie pióro.

N. 37. Ubranie domowe.

Suknia odrobiona z miękkiego wełnianego materyału lub materyi surah, zakończona plisowaniem i dopełniona fałdzistą fartuszkową tunikę ma stanik gładki bluzkowy zapięty z tyłu. Kołnierzyk stojący, mankiety i pasek są aksamitne; klamra przy pasku i naszyjnik czarne dżetowe.

N. 38. Ubranie wizytowe.

Efektowna wizytowa suknia przedstawiona na r. 38 odrobiona jest z cienkiego wełnianego materyału popielatego w ponsowe atłasowe pasy, z louizine w wązkie paseczki popielate i ponsowe i z gładkiego ponsowego aksamitu. Gładka spódnica w szersze pasy ma dodane upięcie à panier z materyału w drobne paski, dopełnione z tyłu oddzielnym prostym brytem. Staniczek bawetowy z aksamitną kamizelką przybrany szeroką koronką.

N. 39. Suknia zdobna haftem.

W ubraniu odrobionem z ciężkiej granatowej materyi faille, zasługuje na uwagę krótki bawetowy stanik, ozdobiony wspaniałym haftem ściegiem płaskim jedwabiem vieil-or. Haft ten dany szeroko od ramion zwęża się stopniowo do dołu, zdobi kołnierzyk stojący i odznacza na rękawach mankiety. W około stanika u dołu dana krótka bufa tworząca rodzaj baskiny.

N. 40. Ubranie z wyciętem stanikiem.

Suknia przedstawiona na ryc. 40, odrobiona z ciężkiego czarnego atłasu, przeznaczona jest do żałoby dworskiej. Spódnicę do trenu suto w górze bufowanego garnirują trzy plisowane falbany, po nad któremi dana krótka bufiasta draperya. Stanik bawetowy sznurowany z tyłu ma bertę ułożoną z atłasu, illuzyi i hiszpańskiej koronki. Rękawiczki czarne sięgające po za łokcie.



N. 34. Kapotka z kolorowemi kokardami. Patrz r. 28.



N. 33. Uczesanie z krótkiemi loczkami.



N. 35. Kapotka z alzacką kokardą i girlandą. Patrz r. 27



N. 37. Ubranie domowe. N. 38. Ubranie wizytowe.



N. 39. Suknia wizytowa zdobna haftem.



N. 36. Kapelusz wiosenny.



N. 40. Ubranie do żałoby dworskiej.



Pl. 536.

TYGODNIK MÓD.

W Warszawie.